

Wszystkich Świętych



Jak co roku w Dniu Wszystkich Świętych i w Dzień Zaduszny Polacy odwiedzają groby swych najbliższych, a także bohaterów narodowych, by w zadumie modlitewnej oddać im należną cześć. Zdjęcie z cmentarza powązkowskiego w Warszawie. (fot. archiwum)

1 listopada udamy się na groby naszych najbliższych, przyjaciół i znajomych, by w powadze, ale zarazem zadumie nad przemijającym życiem, wyrazić naszą pamięć o tych, którzy odeszli. Odwiedzimy też groby naszych bohaterów narodowych, tych znanych i tych skrytobójczo zamordowanych przez wrogów: zbrodniarzy niemieckich, komunistycznych, czasami banderowskich. Złożymy wiązanek kwiatów, może wieniec, zapalimy lampki. Od ich blasku polskie cmentarze rozblyszą łunami, potęgującymi wrażenie obchodów Dnia Wszystkich Świętych.

W tym roku będzie jednak inaczej z powodu tzw. pandemii. Z pewnością na

cmentarzach będą zastosowane rygory sanitarne, zaś samo Święto prawdopodobnie roztanie rozciągnięte w czasie, by uniknąć ewentualnych zgromadzeń. Jak zapewniali jeszcze kilka dni temu rządzący, cmentarze nie będą zamykane. Pytaniem jest jednak czy tradycyjne Msze Święte będą sprawowane na nekropoliach jak to bywało każdego roku.

Z pewnością ważniejszym od przepisów będzie zachowanie zdrowego rozsądku wszystkich, odwiedzających groby najbliższych. Krótka modlitwa, zapalenie zniczy lub świeczek, złożenie kwiatów i wyjście z cmentarza—to chyba

Ciąg dalszy na stronie 2

W numerze m.in.:

Strony 1, 2 i 3

Wszystkich Świętych

Strony 4 i 5

Głód czy gnienie. Co lepsze ?

Strony 5 i 6

Odchodzą świadkowie historii

Strony 7 i 8

Przeszłość zapisana w pamięci...

Strona 8

USA: Końcówka kampanii
prezydenckiej

Strony 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17
i 18

Czas się kończy. Przepowiednie dla
Polski i świata (4)

Strona 19

Głupota jest niezatapialna, dlatego
tak szkodliwa

Strona 20

Książka na dzisiaj

Strony 21, 22 i 23

Niepodległość 1918

Strony 24 i 25

Szacun dla Margot ?

Strona 25

Piekło kobiet

Strona 26

Atak lewackiej Bestii

najwłaściwszy przepis na nadchodzące dni: Wszystkich Świętych oraz Dzień Zaduszny.

Jednakże ten dzień znaczy dla każdego Polaka i katolika coś więcej, niż tylko zewnętrzne symbole. To przede wszystkim głęboka zaduma modlitewna, odmówienie „Zdrowaś Maryjo” czy „Wieczny odpoczynek” tudzież innych modlitw za dusze w czyśćcu. To refleksja nad ulotnością naszego ziemskiego życia, tej czasowej wędrówki, po której złączymy się kiedyś z tymi, którzy odeszli przed nami.

W dzisiejszym, mocno zlaicyzowanym świecie zatarła się różnica między Dniem Wszystkich Świętych a Dniem Zadusznym, który następuje po tym pierwszym. Dzień Wszystkich Świętych jest w Polsce świętem zarówno kościelnym, jak i państwowym. Ustanowił je od około IV wieku zwyczaj oddawania czci wszystkim męczennikom chrześcijańskim, zaś jako oficjalne święto kościelne pod nazwą Świętych Męczenników dzień ten został ogłoszony w roku 610 przez papieża Bonifacego IV. Był on początkowo obchodzony w dniu 13 maja. Dopiero papież Grzegorz postanowił w roku 731, że od tego roku święto to będzie obejmowało nie tylko męczenników za wiarę, lecz także wszystkich świętych Kościoła oraz że będzie ono obchodzone w dniu 1 listopada. Jest więc ono poświęcone świętym Kościoła, zaś wierni mają obowiązek uczestniczyć w tym dniu w mszy świętej jak w każdej niedzielę.

W odróżnieniu od Dnia Wszystkich Świętych Dzień Zaduszny (w skrócie zwany Zaduszkami), obchodzony 2 listopada jest dniem pamięci o wszystkich zmarłych. Obchody tego dnia datują się na rok 998, kiedy to opat z Cluny święty Odilon wprowadził go do kalendarza kościelnego jako przeciwwagę dla wielu pogańskich obrządków, w których oddawano cześć zmarłym. W Kościele Katolickim



**Cmentarz Orłat Lwowski
(fot. archiwum)**

Dzień Zaduszny na dobre zagościł w kalendarzu liturgicznym w XII wieku. Przez wiele wieków był on również oficjalnym dniem świątecznym, tak jak poprzedzający go Dzień Wszystkich Świętych.

Polska, jako kraj zachodniej kultury chrześcijańskiej od samego początku swojej państwowości wprowadził do swojej tradycji oba te święta. Stąd obowiązywały dwa dni świąteczne, w czasie których modlono się do świętych oraz za dusze wszystkich zmarłych. W takim kształcie obchody zarówno 1 jak i 2 listopada przetrwały aż do czasów PRL-u, z tym jednak, że władze komunistyczne ograniczyły je do jednego dnia—1 listopada, wprowadzając w miejsce nazwy Wszystkich Świętych ateistyczne określenie Dzień Zmarłych. Zaduszki stały się zwykłym dniem.

W świecie zachodnim oba dni świąteczne istniały aż do rewolty francuskiej, zwanej eufemistycznie Wielką Rewolucją Francuską czyli do końcowych lat XVIII wieku. Jako takie przeniknęły również do kościołów protestanckich czy kościoła anglikańskiego. Laicko-ateistyczne prądy doby oświecenia i coraz większe wpływy masonerii w XIX wieku spowodowały wpierw zeświecczenie Dnia Zmarłych czyli Zaduszek, a z czasem ich likwidację. Podobnie rugowano sam Dzień Wszystkich Świętych, starając się zastąpić go pogańsko-satanistyczną namiastką Halloween, obchodzoną w dniu 31 października. Tendencja ta dominowała przez wiele lat w kręgach kultury

anglosaskiej, a zwłaszcza w Ameryce Północnej (USA i Kanada). Jednakże Kościół Katolicki w krajach tego kręgu kultury do dzisiaj wyróżnia Dzień Wszystkich Świętych (All Saints Day) i Dzień Zaduszny (All Souls Day).

Laicyzacji obu świąt w Polsce sprzyjała nie tylko antyreligijna propaganda władz komunistycznych doby PRL-u. W III RP niezwykle silnie rozpropagowano ateizację życia publicznego według ideologii lewackiej kręgów lewacko-masońskich. Dzień Zaduszny 2 listopada jest—identycznie jak w PRL—zwykłym dniem powszechnym, co powoduje, że jedynie dzień 1 listopada jest praktycznie jedynym dniem, w którym Polacy masowo odwiedzają cmentarze i w którym uczestnictwo we mszy świętej jest obowiązkowe na prawach niedzieli. Jedynie starsze pokolenie pamięta o zmarłych w następnym dniu, zgodnie z tradycją katolicką.

W epoce III RP nachalna propaganda lewacka starała się zaciekle wprowadzać obcy nam kulturowo, a zwłaszcza religijnie zwyczaj Halloween, zapożyczony z zachodnich kręgów pogańskich obchodów celtyckich w czasach przedchrześcijańskich. Jest to sprzeczne z polską tradycją i wartościami katolickimi i tak jest traktowane przez Polaków. Wydaje się jednak, że od kilku lat ten pogański zwyczaj odchodzi na śmietnik, chociaż stale jest propagowany.

W Dniu Wszystkich Świętych oraz w



**Polski cmentarz wojskowy na Monte
Cassino (fot. archiwum)**



Polskie mogiły siostr Felicjanek w Albuquerque w stanie New Mexico (fot. własna PSF)

Zaduszki Polacy nie tylko w Polsce uczestniczą w liturgii mszy świętej, lecz także nawiedzają groby zmarłych. Bo przecież polskie groby są rozsiane po całym świecie. Polskie mogiły rozciągają się od najdalszych zakątków Syberii, przez Kazachstan, ziemie pocurzońskie czyli Kresy, Bliski Wschód, Europę po obie Ameryki. Niektóre z nich uległy już naturalnej degradacji środowiskowej, wiele jest opuszczonych. O nich

przypomina czasem zmurszały krzyż, wbity w zmarznąłą ziemię tajgi czy tundry, kazachskiego stepu czy po prostu płasko wbudowana w murawę niewielka płytką z nazwiskiem na cmentarzach amerykańskich. To polscy zesłańcy, emigranci a także ci, których winą nie jest odsunięcie granic Polski na zachód. Wiele z niegdyś wspaniałych grobowców największych przedstawicieli polskiej kultury na Kresach było i jest systematycznie niszczone czy po prostu skazanych na zagładę naturalną. Ostatnio czyni się wielkie starania, by rekonstruować szczególnie ważne polskie nekropolie we Lwowie czy Wilnie. Na wielu polskich cmentarzach w Polsce, zwłaszcza na Powązkach ale nie tylko, zbierane są dobrowolne datki na ten cel. O tym też warto pamiętać, kiedy znajdziemy się na cmentarzu 1 listopada.

Poza granicami Polski istnieją wielkie nekropolie, z których najbardziej znanymi są cmentarze: Łyczakowski we Lwowie, na Rosie w Wilnie czy cmentarz żołnierzy

polskich gen. Władysława Andersa pod Monte Cassino. To nekropolie-symbole tragicznych losów Polski XX wieku. Ale poza nimi istnieje wiele polskich cmentarzy—mniejszych lub większych. Pochylmy się w modlitewnej zadumie nad tamtymi grobami, często już bezimiennymi, zapomnianymi.

W polskiej tradycji istnieje wspaniały zwyczaj, by zapalić świeczkę na grobach polskich bohaterów narodowych, ale także na grobach opuszczonych. Nasza Ojczyzna jest ich pełna. Opuszczeni, wyklęci żołnierze polskiego podziemia nadal czekają na ich znalezienie, identyfikację i godny pochówek z przywróceniem pamięci o nich następnym pokoleniom. Część z nich spoczywa na warszawskiej Łączce, ale przecież tych bezimiennych polskich bohaterów są tysiące. Niektórzy z nich stale spoczywają gdzieś pod podłogami byłych więzień UB, gdzieś w zbiorowych mogiłach, na których posadzono drzewa czy wybudowano aleje. Oni też czekają na naszą modlitwę.



Katyń—masowe groby pomordowanych przez NKWD polskich oficerów (fot. własna PSF, stan z 1989 roku)

Polacy na emigracji, jeśli sami nie posiadają na cmentarzach lokalnych swoich najbliższych, przyjaciół czy znajomych, w Dniu Wszystkich Świętych zapalają symboliczne lampki na grobach tych, którzy mają polskie nazwiska. Jeśli nawet takich mogił brak, przenoszą polską, piękną tradycję zapalenia lampki na opuszczonych grobach. Wszędzie jednak myśli wędrują ku Polsce, modlitwa za zmarłych posiada większą siłę blasku od tysięcy świeczek.

Stanisław Matejczuk

PS.

Tuż przed zamknięciem numeru dostaliśmy informację, że rząd zdecydował o zamknięciu wszystkich cmentarzy w dniach 31 października oraz 1 i 2 listopada. Pozostaje nam zatem modlitwa w domach za dusze zmarłych ewentualnie odwiedzić groby bliskich w następnych dniach o ile ten zakaz nie zostanie przedłużony. Dura lex sed lex...

Tytuł niezbyt apetyczny, ale sprowokowany przez panią dr. Katarinę Barley z SPD, wiceprzewodniczącą Parlamentu Europejskiego, która zabrała głos w sprawie praworządności w Polsce i na Węgrzech, dwóch już tylko krajach europejskich, które bronią się przed procesem gnilnym, jaki na kształt nieuleczalnej choroby, n. p. ostatniego stadium nowotworu, toczy dziś wiele narodów i państw świata. Nie znaczy to wcale, że większość ich mieszkańców na to się godzi. Ale systemy rządzenie nazywające się demokracjami, czyli używającymi nazewnictwa będącego dziś już tylko pustym dźwiękiem, stosują totalitaryzm ideologiczny, pozwalający normalnemu człowiekowi wyznawać uznany przez niego światopogląd jedynie w najgłębszym ukryciu.

Czyli nic się nie zmieniło od czasów kiedy Lenin ogłosił tzw. światopogląd naukowy jako jedynie obowiązujący w kraju, gdzie człowiek oddychał – jak mu wmawiano – niczym nie ograniczoną wolnością. Innym słowy bolszewizm kwitnie także dzisiaj, tyle że się inaczej nazywa. Mniejsza zresztą o nazwę. Choć może nie zupełnie. Pan Trzaskowski zapowiedział tworzenie ruchu „Nowej Solidarności”, mającym w sobie jakoby olbrzymią energię ludzi, którą trzeba „skanalizować”. A więc i słowo kanalizować ma różne znaczenie. U pana T. winno oznaczać dbałość o ścieki Warszawy. Aliści to mu nie wychodzi, może wyjdzie „Nowa Solidarność”.

Ale, jak to mówią Francuzi *revenons à nos moutons*, ściślej mówić nie do owiec, a do pani Barley. Cóż to ona wymyśliła, rzecz jasna w obronie wolności; czy praw człowieka, tak jak je ona pojmuje?

A więc: „Sytuacja w obu krajach członkowskich [Polsce i Węgrzech – ZZ] jest szczególnie poważna. Są tam nie tylko pojedyncze pomyłki, ale państwo prawa jest systematycznie

przebudowywane. Państwa takie jak Polska i Węgry powinny być finansowo wygłodzone. Subwencje unijne niech będą skuteczną zaporą”. Dalej, panią Barley wsparło oświadczenie czterech dużych frakcji w Parlamencie Europejskim, by budżet unijny zablokować, jeśli nie zostaną ustanowione jasne sankcje w przypadkach naruszeń zasad państwa prawa” (Niezależna.pl)

W czym to pani Barley i owe cztery duże frakcje w Parlamencie Europejskim widzą naruszenie praworządności? Przede wszystkim w sanacji wymiaru sprawiedliwości, gdyż ten chory, odziedziczony po PRL, gwarantuje skuteczne utrzymywanie w Polsce destrukcyjnego dla państwa lewactwa. Dalej, chodzi o utorowanie drogi ideologiom takim jak LGBT, genderyzm. Czym one są, tego nikomu kto ma jako takie używanie rozumu nie trzeba mówić. Ale takie osoby jak pani Barley i lewicowe ugrupowania w PE mają jeszcze coś innego na względzie. Społeczeństwa, które zdecydowane są obronić się przed nihilizmem wciskającym się dziś w każdą dziedzinę życia są niewygodne dla państw, zwłaszcza na zachodzie Europy, które powoli zanurzają się w bezideowym, pozbawionym tożsamości błotku; po prostu powoli giną. Może to jest proces na dziesiątki lat, ale na dziesiątki, z pewnością nie na setki. Wiadomo, że tonący pociąga często w topiel tego, kto chce go ratować. Ginę jeden i drugi. Społeczeństwa mające jeszcze jakiś spory zapas swej tożsamości i nie wyprane z wartości obiektywnych, nie tych preparowanych ad hoc dla czyjegoś widzimisię, chcą trzymać głowę nad wodą, żeby nie powiedzieć szambem, dlatego takie osoby, jak wymieniona pani chcą użyć wszelkich środków, by je w tym zanurzyć. Najlepiej użyć środków znanych dobrze w świecie brudnego biznesu. Bo manipulowanie budżetem UE to przecież łapówka dla wszystkich lewaków w Parlamencie i Radzie Europy.

Może zresztą wyczyn pani Barley jest bardziej zrozumiały niż podgryzanie własnego, jak by nie było, kraju przez europosłów z Polski – wahałbym się ich nazwać polskimi. Ale w końcu jej oświadczenie dyskwalifikuje ją z wielu względów. Mówiąc o ogłodzeniu, zapomina ona, kto był mistrzem w zabijaniu głodem, zapomina jak ginęli ludzie w bunkrze śmierci w Auschwitz, jak zginął Ojciec Kolbe, zapomina o tysiącach kościotrupów umierających w dniu wyzwolenia, zapomina o wielu rzeczach, o których polityk zawsze powinien pamiętać. A nie pamięta, że wołając o sankcje dla Polski i Węgier, hołduje hitlerowskiej zasadzie Gleichschaltung. Tak, kto wystaje głową ponad tłum, trzeba mu ją po prostu uciąć. Jeśli nie w Plötzensee, to w Parlamencie Europejskim.

A tego właśnie nie chcemy i mamy prawo nie chcieć. Każdy ma prawo, by jego malucha nie uczono masturbacji, by nie deprawowano dziecka od przedszkola po uniwersytet.

Ale to jest adresowane także do Polaków. Nie mówię o głupim i haniebnym gładzeniu w Niemczech pani Dulciewicz. Gdzie, gdy mowa o Gdańsku, w tyle głowy pojawiają się Forster, czerwien flag ze swastyką i Freie Stadt Danzig. Dla Polaka Gdańsk kojarzy się z wybuchem wojny, Westerplatte, Poczta Polska. Czy tak jest z rządzącymi obecnie tym miastem? Tu trzeba by posłać do szkoły podstawowej osobę, która ośmiela się mówić, w dodatku w radiu niemieckim, że w Polsce „*wolność jest zabierana po kawalku, a to jest przerażające, bo przecież tak było w III Rzeszy*”. I dalej skarży się, że jej mama często płacze widząc sytuację w kraju i mówi, że „*jest gorzej niż za komuny*”.

Być może, że mama jej jest starsza, a za komuny dobrze jej było. Toteż niech sobie biada. Ale pani Dulciewicz z taką wiedzą o dziejach najnowszych,



*Ś.p. Jerzy Grabus
(fot. J. Martini)*

9 września 2020 roku zmarł ostatni żyjący uczestnik Powstania Poznańskiego 1956 roku, który walczył z bronią w ręku – Jerzy Grabus.

Wśród "polskich miesięcy", podczas których stopniowo wyrwaliśmy coraz więcej podmiotowości, te 3 dni w czerwcu 1956 roku, zwane w PRL jako "wypadki poznańskie" były cezurą chyba najważniejszą. Było to ostatnie zbrojne wystąpienie Polaków po II Wojnie Światowej. Równocześnie przemiany będące konsekwencją tych wydarzeń zakończyły okres nieformalnej powojennej okupacji sowieckiej, a późniejsza ułomna i zwasalizowana Polska Rzeczpospolita Ludowa była jednak formą państwowości polskiej.

W 2015 roku miałem okazję zarejestrować długie, bardzo interesujące wspomnienia członków poznańskiego Klubu Gazety Polskiej, będących bezpośrednimi uczestnikami Poznańskiego Czerwca – Zofii Bartoszewskiej i Jerzego Grabusa (film pt. "Poznański Czerwiec 56 w relacji uczestników" dostępny jest na YT).

Zofia Bartoszevska była pielęgniarką w szpitalu im. Raszei położonym w sąsiedztwie siedziby Urzędu Bezpieczeństwa. Nawet po 50 latach jej głos się łamie, gdy mówi o ciężko rannym 17-letnim chłopcu, który całą noc wołał matkę i zmarł rano, 20 minut przed jej przybyciem...

Natomiast Jerzy Grabus mówił bez emocji o swych przeżyciach, choć były bardzo dramatyczne. Karabin "odziedziczył" po ciężko rannym powstańcu, któremu służył jako amunicyjny i był świadkiem śmierci kolejno dwóch swoich amunicyjnych. Będąc dwukrotnie rannym Grabus miał wiele szczęścia – raz pocisk rozerwał mu marynarkę i oparzył bok (kula opuszczając lufę jest gorąca), zaś rany w kostkę w ferworze walki początkowo nawet nie zauważył. Po opatrzeniu rany i wylaniu krwi z buta poszedł walczyć dalej. Ponieważ szybko po tych wydarzeniach wyjechał z miasta na praktykę studencką do Gdańska, nie "załapał" się na pierwsze, najbrutalniejsze przesłuchania, ale przez donos kolegi ze studiów został aresztowany po 2 miesiącach. Choć samo aresztowanie miało brutalny przebieg (podczas aresztowania wskutek kopniaka pękła mu nerka) w samym śledztwie nie był traktowany źle. Widocznie funkcjonariusze wyczuli już wiatr historii i nadchodzące zmiany. Grabusowi groziła kara śmierci, ale po objęciu władzy przez Gomułkę został zwolniony. Nie znaczy to, że komuniści o nim zapomnieli – został wyrzucony ze studiów i nigdzie nie mógł znaleźć pracy, a przez 11 lat był niepokoiony przez funkcjonariuszy już nie UB, lecz SB (po "Październiku" zlikwidowano Urząd Bezpieczeństwa, a jego "zasoby kadrowe" przeniesiono do milicji tworząc w niej pion bezpieczeństwa – SB). W 1989 roku byliśmy świadkami równie kosmetycznej operacji likwidacji SB. Przezorny gen. Kiszczak przeniósł część funkcjonariuszy do milicji (wkrótce przemianowanej na policję), a resztę, po symbolicznej weryfikacji i odrzuceniu niektórych, zatrudniono w Urzędzie Ochrony Państwa

Głód czy gnienie. Co lepsze ?

(dokończenie)

produkująca się z tą wiedzą w kraju, który salwami pancernika Schleswig-Holstein właśnie w Gdańsku zainaugurował napaść na jej kraj, który ona dziś poniewiera właśnie tam, skąd wyszło uderzenie ?! To jest coś co nie uszło by płazem w żadnym kraju, gdzie honor i prawda coś znaczą. Ale jej włos z głowy nie spadnie, podobnie jak wszystkim, którzy przez lata okradali Polskę, a teraz jedyny ich cel, to dopaść ją po resztę. Nie bez racji liczą na głupotę sporej liczby wyborców. Bo na co w końcu liczyła Warszawa ? A Gdańsk nie lepszy. Freie Stadt Danzig wielu chodzi po głowie.

Wracając do tytułu, co w końcu lepsze ? Historycznie to pierwsze, bo ani Hitler ani Stalin głodem nas nie zmoгли, choć kto wtedy żył, wie jak było i wie na co można liczyć, jeśli tacy ludzie jak pani Barley będą trząść Europą. Każdy mający oczy otwarte wie, że proces gnilny, powolny, ale nieubłagany się toczy. Ante portas a także już inta muros, czyli przed bramami i w środku stoją już gotowi posprzątać po nieboszczykach i w miejsce krzyży zawiesić półksiężyce. I oni potrafią wybić z zakutych łbów te kilkadziesiąt płci, parzenie się na każdym rogu ulicy. I będzie znowu ojciec, matka, mąż żona, a nie jakiś partner, partnerka, pierwszy, drugi rodzic, jakaś ideologia LBGT. Bo te ludy, które lądują w Grecji i wlewają się przez granice Schengen nie poprawiają tego, co natura dała. Natomiast okazą się nielitościwi dla poprawiaczy.

Można spytać po co wszystko to pisać, o tym mówić ? Ktoś powiedział, że nie warto, bo mądry to wie, a głupiemu nie po tym. Pewnie coś w tym jest.

Dokończenie na stronie 6

Zygmunt Zieliński

(późniejszej Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego - ABW)

Relacje Grabusa i Bartoszewskiej ujawniły szereg nieznanych faktów. Te "białe plamy" Powstania Poznańskiego 1956 r. ciągle czekają na rzetelne badania historyczne. Jednak wydaje się, że wciąż nie ma na to klimatu politycznego, a świadków coraz mniej... Zarówno Grabus, jak i Bartoszeńska twierdzili, że "wypadki poznańskie" zostały sprowokowane, a świadczy o tym choćby fakt, że strajk w zakładach Cegielskiego rozpoczął się podczas Targów Poznańskich, kiedy w mieście przebywała duża ilość cudzoziemców. Nieznany jest los więźniów przetrzymywanych w piwnicach Urzędu Bezpieczeństwa – prawdopodobnie zostali wymordowani podczas oblężenia gmachu. Szkielety znalezione na poligonie w Biedrusku mogą należeć do żołnierzy, którzy odmówili strzelania do ludzi, lub przeszli na stronę powstańców. Bardzo mało wiadomo na temat aresztowań i represji wobec personelu medycznego kryjącego rannych powstańców. Chyba te obszary badawcze nie znalazły się w zainteresowaniu historyków z Wojskowego Instytutu Historycznego, którzy pierwsi zajęli się Czerwcem 56. Oficjalnie władze "zatwierdziły" 72 ofiary śmiertelne i 230 rannych, ale nie ulega wątpliwości, że są to liczby znacznie zaniżone. Obecni podczas wydarzeń w Poznaniu francuscy dziennikarze znaleźli sprytny pomysł na zweryfikowanie liczby ofiar. Zgłosili oni do władz, że zaginął ich kolega. Powołano komisję w skład której, obok przedstawicieli ambasady francuskiej i dziennikarzy - kolegów "zaginionej", wchodził minister zdrowia Sztachelski. Przeszukano wszystkie szpitalne kostnice, Francuzi dziennikarza nie znaleźli, ale przy okazji policzyli zmarłych od ran postrzałowych. Do południa 29 czerwca było ich 115. Biorąc pod uwagę fakt, że walki trwały jeszcze następną dobę, a część ciężko rannych zmarła później, można szacować ogólną ilość ofiar śmiertelnych na ok. 150. Mimo przerwania łączności telefonicznej, szpitale komunikowały się między sobą (pożyczano środki opatrunkowe,

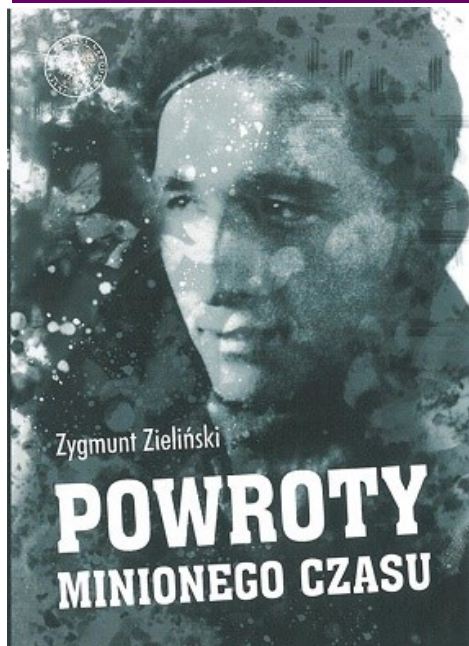
przemieszczano pacjentów), a służba zdrowia doskonale orientowała się o ogólnej ilości rannych, których mogło być ok. tysiąca. Ponadto wielu rannych po udzieleniu pomocy nie wpisywano do oficjalnych rejestrów z uwagi na możliwość represji.

Zofia Bartoszeńska odwiedzając koleżankę – pielęgniarkę, której narzeczony pracował jako fotograf w UB, widziała walizkę zdjęć z demonstracji. Dowiedziała się też, że stu takich fotografów wyszło na ulice miasta podczas zająć. Zrobiono wiele tysięcy zdjęć tłumy, które potem pracownicy oglądali tajni współpracownicy z zakładów pracy, rozpoznając znajomych (taką "działalnością usługową" dla SB zajmował się "wczesny Waleś"). Właśnie w ten sposób został "namierzony" Jerzy Grabus. Podczas śledztwa widział on ogromne wory ze zdjęciami w pokojach przesłuchań. Po stłumieniu oporu na miasto spadły wielkie represje – kilka tysięcy zatrzymanych osób umieszczono w obozie filtracyjnym na lotnisku Ławica. Wybrano 800 podejrzanych do bardziej wnikliwego śledztwa, w końcu do spraw sądowych zakwalifikowano 130. Wśród nich był Jerzy Grabus. Aby "przeprocesować" taką ilość, potrzebne było "wzmocnienie kadrowe" – to wówczas powiększono liczbę etatów w UB do 900, i ta "firma" stała się jednym z największych zakładów pracy w mieście. Prawdopodobnie ówczesne decyzje kadrowe tak bardzo wzmacniające protoplastów dzisiejszej "lewicy laickiej" mają wpływ na obecne preferencje wyborcze mieszkańców – to w Poznaniu na kandydata "polskojęzycznych Europejczyków" (jak siebie określają) padło 74 % głosów – więcej niż w Warszawie czy Gdańsku.

Za masakrę 1956 roku NIKT nie został ukarany. Powołano partyjno – rządową komisję do spraw wyjaśnienia przyczyn "wypadków poznańskich", na czele której stał nieznany wówczas Edward Gierek. Komisja ustaliła, że próbę "kontrewolucji" wywołali "agenci imperializmu amerykańskiego".

Aby opanować sytuację użyto 300 czołgów i 10 tysięcy żołnierzy pod dowództwem

"sojusznicznych" oficerów oddelegowanych do polskiego wojska. Zwycięstwo nad ludnością Poznania odniósł sowiecki wojskowy w Polsce znany jako "generał Stanisław Popławski – syn polskiego chłopca spod Mohylewa". Zdaniem wielu historyków jego prawdziwe nazwisko to Sergiej Fiodorowicz Gorochow. Po stłumieniu oporu poznaniaków został odwołany do Rosji. Do śmierci pobierał polską emeryturę, a na jego pogrzeb w 1973 roku do Moskwy pojechała delegacja partyjno – rządowa z gen. Jaruzelskim na czele. W osiemnastą rocznicę poznańskiej masakry - 28 czerwca 1974 roku - zwodowano w Gdańsku statek Ms "Generał Stanisław Popławski"... W oficjalnym biogramie generała wymieniony jest jego "szlak bojowy" i kampanie w których uczestniczył. Jako ostatni punkt kariery zawodowej tego oficera wymienione jest "powstanie poznańskie". Drugi sowiecki generał Jerzy (Jurij) Bordziłowski, który w Poznaniu wydał rozkaz strzelania ostrą amunicją, powrócił do ZSRR później, bo dopiero podczas kolejnego "zakrętu historii" - w roku 1968. Miał on długą historię walki z Polakami, bo debiutował w tej roli już podczas wojny polsko – bolszewickiej w roku 1920. Po październikowym przesileniu 1956 roku wielu spośród tysięcy sowieckich oficerów oddelegowanych do służby w wojsku polskim wróciło do Rosji (na czele z marszałkiem Rokossowskim). Jednak część pozostała. Ich dzieci mówią już bez akcentu i z pewnością nie są wyborcami Prawa i Sprawiedliwości. Podczas zaborów znane były liczne przypadki polonizacji (szczególnie w zaborze austriackim) dzieci wojskowych zaborczych armii. Jednak rosyjscy oficerowie oddelegowanych do "pełnienia obowiązków Polaków" (tzw. "POP") w latach 1944 - 1945, specjalnie przygotowywani, po intensywnych kursach językowych, byli zbyt przywiązani do swej radzieckiej ojczyzny, by ulec polonizacji. Może ich potomkowie dalej wykonują jakieś zadania ?



Ksiądz prof. dr hab. Zygmunt Zieliński jest jednym z najwybitniejszych polskich historyków XX wieku, znawcą dziejów Kościoła katolickiego i jego misji edukacyjnej nie tylko w kraju, dziś emerytowanym wykładowcą Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II. Po swoim mistrzu ks. prof. Mieczysławie Żywczyńskim w 1972 r. objął Katedrę Historii Kościoła XIX i XX wieku w Instytucie Historii Kościoła na Wydziale Teologii KUL. Pod jego kierunkiem doktorat obroniło 47 uczonych, z których znaczna większość uzyskała najwyższe tytuły naukowe – bądź dziś pełni ważne godności w polskim Kościele. W swoim arcybogatym dorobku naukowym, liczy on bowiem ponad 900 publikacji, ma 48 monografii, których jest autorem lub redaktorem naukowym, a także redaktorem wielu prac zbiorowych z najnowszej historii Kościoła na ziemiach polskich okresu międzywojennego i okupacji niemieckiej. Wielkim sukcesem i poczytnością cieszą się też jego liczne krytyczne artykuły o współczesnej politycznej rzeczywistości zamieszczane w prasie codziennej i periodycznej, oraz na blogu *Niepoprawni.pl*.

Za sprawą Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie w lipcu 2020 r. ukazały się

obszerne wspomnienia ks. prof. Zygmunta Zielińskiego pt. „*Powroty minionego czasu zagnieżdżone w pamięci*”.⁽¹⁾ Autor zapytany przez dziennikarza Radia Lublin, dlaczego ta książka powstała powiedział, że: „Takie książki powstają dlatego, że człowiek chce się wypowiedzieć (...). Wydawało mi się, że pewne rzeczy warto odnotować. Wszystko dlatego, że na przestrzeni lat stwierdziłem, że panuje taka ogromna niewiedza na temat tego, co się kiedyś wydarzyło i co niekoniecznie trafia do monografii czy jakiś bardziej syntetycznych opracowań. Nigdy nie myślałem, że ta książka ukaże się za mojego życia. To było coś, co mnie samego zaskoczyło”.⁽²⁾ Ksiądz Profesor dodał, że zaczął ją pisać, gdy jeszcze pracował. Na emeryturze jest już 17 lat, więc mniej więcej tak długo trwała praca nad tą publikacją. Książka ma blisko 900 stron. Autor podzielił zapis wspomnień na trzy części.

Pierwsza obejmuje okres od dzieciństwa i młodości, poprzez pobyt w seminarium gnieźnieńskim, aż do końca pracy duszpasterskiej.

Druga dotyczy studiów specjalistycznych w KUL i czterdziestoletniej tam aktywności naukowo-dydaktycznej.

Trzecia ukazuje zatrudnienie w ośrodkach akademickich w kraju (Częstochowa, Chełm), w USA i Kanadzie oraz podejmowane różnorodne inicjatywy naukowe, między innymi dotyczące kontaktów i relacji polsko-niemieckich czy polsko-żydowskich, organizowania i udziału w licznych sympozjach uniwersyteckich. Autor dużo miejsca poświęca sprawie systematycznego obniżenia poziomu nauki w kształceniu i dydaktyce akademickiej, co ma już swój początek na poziomie szkoły średniej.⁽³⁾

Księdzu Zielińskiemu przyszło żyć w epoce dwóch systemów totalitarnych: narodowego socjalizmu w III Rzeszy i komunizmu, oraz ich fatalnych następstw. Był naocznym świadkiem tragicznych wydarzeń II wojny światowej. Dzień jej wybuchu, 1 września 1939 r., dla

ośmioletniego wtedy chłopca (ur. 1931 r. w Cekcynie k. Tucholi) był ważnym i przełomowym momentem w jego dalszym życiu. Doświadczenie braku ojca zamordowanego w pierwszych tygodniach wojny przez Niemców, okupacyjna bieda i dyskryminacja polskiego dziecka w niemieckiej szkole, zahartowały i ukształtowały jego wnętrze i późniejszy zdecydowany charakter. Problemy życiowe rodziny bynajmniej nie ustały po zakończeniu wojny. Autor zwraca uwagę na trudną sytuację polityczną i gospodarczą powojennej zsowietyzowanej Polski, indoktrynację i upolitycznienie wychowania dzieci i młodzieży w socjalistycznej szkole.

Zygmunt Zieliński w kwietniu 1945 r. rozpoczął naukę w Państwowym Gimnazjum i Liceum im. Bolesława Krzywoustego w Nakle nad Notecią, gdzie po wojnie zamieszkał z matką i dwiema siostrami. Podczas nauki był szykanowany za poglądy obce reżimowi i gnębiony przez Urząd Bezpieczeństwa, tydzień przetrzymywano go i przesłuchiowano. Nie należał do Związku Młodzieży Polskiej, co zasadniczo stawiało pod znakiem zapytania zdanie matury. Uzyskał ją wszakże w 1951 r., po czym wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego w Gnieźnie, w najtrudniejszym dla Kościoła okresie ofensywy stalinowskiej w Polsce. W 1957 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Atmosfera panująca w seminarium w jego wspomnieniach została przedstawiona z dużą dozą sympatii i niezwykle realistycznie. Autor przypomniał sylwetki znanych i cenionych wtedy profesorów oraz związane z nimi anegdoty. Szczególnie ciepło i serdecznie wspomina rektora seminarium ks. Józefa Pacynę, ojca duchownego ks. Stanisława Szymańskiego, oraz wielu innych wykładowców. Z wyjątkową atencją i serdecznością wypowiada się o posłudze pasterskiej ówczesnego arcybiskupa

USA: Końcówka kampanii prezydenckiej

Już za parę dni, we wtorek 3 listopada, odbędą się w Stanach Zjednoczonych wybory prezydenckie. O fotel Prezydenta USA ubiegać się będą dwaj kandydaci o dwóch totalnie różnych orientacjach politycznych. Z jednej strony dotychczasowy Prezydent Donald Trump, z drugiej zaś przedstawiciel partii demokratycznej, lewacki Joe Biden.

Będziemy mieli na terenie amerykańskim starcie dwóch cywilizacji. Z jednej strony tradycji i konserwatyzmu, a drugiej skrajnego lewactwa.

Już od pewnego czasu Amerykanie poszli do urn w ramach tzw. wczesnego głosowania. I chociaż zawsze taka forma głosowania odbywała się przed wyborami, to jednak, z uwagi na tzw. pandemię obecne wcześniejsze głosowania spowodowały, że wiele milionów Amerykanów już oddało swe głosy. Ich wyniki dodane będą do głosów z 3 listopada.

Trudno jest przesądzać o wyniku. Jednakże spoglądając na relacje ze spotkań przedwyborczych obu kandydatów można powiedzieć, że spotkania z obecnym Prezydentem Trumpem gromadziły tysięczne tłumy, podczas gdy nieliczne spotkania Joe Bidena świeciły pustkami. Oczywiście, tzw. badania opinii, przeprowadzane przez lewacko-liberalne media wskazują na przewagę Joe Bidena. Wiadomo jednak, że sondaże są w obecnej rzeczywistości jedynie narzędziem propagandy, a nie realnym odzwierciedleniem preferencji wyborczych.

Jak zatem będzie? Przekonamy się wkrótce.

Remigiusz Ostrowski

gnieźnieńskiego, później Prymasa Tysiąclecia kardynała Stefana Wyszyńskiego (s. 209-211, 216, 370).

Cechą charakterystyczną narracji ks. prof. Zielińskiego jest niezwykła bezpośredniość i szczerość. Autor właściwie ograniczył się do podania i skomentowania tych faktów, które zgodnie ze swoimi przekonaniami uznał za ważne. Jak wyjaśnia „Niewygodne fakty starałem się przedstawić tak, żeby to nie była jakaś napaść. Aczkolwiek nie raz trzeba było powiedzieć prawdę i nie można było owijać w bawełnę”.⁽⁴⁾ Odnosiło się to między innymi do stosunków ze środowiskiem naukowym KUL, funkcjonowania uczelni czy przejścia na emeryturę. Chcąc widocznie usprawiedliwić zachowanie swoje i niektórych osób Ksiądz Profesor pisze: „Człowiek pojawia się w jakimś kontekście i w ten sposób należy go odbierać, inaczej staje się niezrozumiały” (s. 724). Mnóstwo przemyśleń i spostrzeżeń dotyczy jego licznych podróży między innymi do Ziemi Świętej, na dawne Kresy II Rzeczypospolitej, a także odniesień do życia Polonii w świecie. Omawiana publikacja jest także dowodem szacunku dla kapłanów i pozwala uchronić od zapomnienia ich odwagę i poświęcenie dla Kościoła i Ojczyzny. Ksiądz Profesor należy bowiem do pokolenia tych duchownych, którzy właściwie rozumieją swe posłannictwo.

Należy zwrócić szczególną uwagę na niebagatelną wyobraźnię Autora i pamięć do szczegółów nawet drobnych detali, na wartką i pasjonującą narrację, przejrzystość w wyrażaniu myśli, giętki, a miejscami dosadny język. Gromadzona przez Autora latami, z wielką wytrwałością i gorliwością, bogata ikonografia w zasadniczy sposób wzbogaciła narrację. Liczne zdjęcia stanowią nie tylko sagę rodzinną, ale nie pozwalają zapomnieć o ludziach, których już nie ma wśród nas, i o zdarzeniach z ich życia. Liczne fotografie i osobiste dokumenty zamieszczone w publikacji

tworzą więc niezwykle klimat i emanują niedzisiejszą aurą.

Przywoływanie przeszłości zapisanej w pamięci wyraża się w ludzkim doświadczeniu, przeżywaniu radości i smutku, sukcesów i niepowodzeń, doznawaniu dobra czy zła. Prezentowany tu zapis zdarzeń cechuje niezwykła autentyczność i realizm. Nie ma w nich żadnej stylizacji. Jest tylko fabuła, którą pisze życie. Wspomnienia Księdza Profesora Zygmunta Zielińskiego są cennym dokumentem, gdyż ukazują niezakłamaną dawną, jak również obecną rzeczywistość dnia powszedniego. Utwierdzają czytelnika w przekonaniu, że warto być uczciwym człowiekiem, na co się trzeba zdobyć, by nim zostać. Odpowiedź jest tylko jedna postępować zgodnie z własnym sumieniem i przekonaniami, co może nawet skutkować pomijaniem w uzyskaniu ważnych godności i splendorów.

Elżbieta Orzechowska

Przypisy:

(1) Zygmunt Zieliński, *Powroty minionego czasu zagnieżdżone w pamięci, wstęp i oprac. R. Łatka, Wyd. Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2020, ss. 872, indeks osób.*

(2) Wywiad red. Tomasza Nieśpiała w dniu 10 VIII 2020 r. z ks. prof. Zygmuntem Zielińskim o jego książce pt. *Powroty minionego czasu zagnieżdżone w pamięci*, <https://radio.lublin.pl/tag/powroty-minionego-czasu-zagniezdzone-w-pamieci>.

(3) Ks. prof. Z. Zieliński szerzej o tym pisze w publikacji *Kaganek oświaty czy kopący ogarek. Rzecz o reformach oświaty i nauki*, Toruń 2019.

(4) Wywiad red. Tomasza Nieśpiała w dniu 10 VIII 2020 r. z ks. prof. Zygmuntem Zielińskim.

Uśmiechnij się...

Strona 9

- Panie Stefanie, jak panu nie wstyd ? 50 lat pan z żoną przeżył i teraz pan ją zostawił i ożenił się z jakąś 20-latką ? Czy pan zwariował ?

- A czego pan się czepia ? Wie pan, jak to co wieczór z żoną było ? Validol jej podaj ! Herbatki zaparz. Przykryj, odkryj! Przełącz kanał w telewizji... I tak w kółko.

A z młodą to tak: wieczorem wyjdzie, rano wróci i człowiek całą noc spokojnie śpi

Katecheta pyta się Jasia:

- Jasiu, kiedy Adam i Ewa byli w raju ?

- Jesienią.

- A dlaczego akurat jesienią ? - pyta zdziwiona katecheta.

- Bo wtedy dojrzewają jabłka.

Mama pyta się swego synka:

- Jasiu, jak się czujesz w szkole ?

- Jak na komisariacie: ciągle mnie wypytują, a ja o niczym nie wiem.

Kolega z klasy powiedział Jasiowi, że wymyślił dobry sposób na szantażowanie dorosłych:

- Mówisz tylko "Znam całą prawdę" i każdy dorosły głupieje, bo na pewno ma jakąś tajemnicę, której nie chciałby ujawnić...

Podekscytowany Jasio postanowił wypróbować świeżo zdobytą wiedzę w domu. Podchodzi do mamy i mówi:

- Znam całą prawdę.

I... dostał 50 złotych z przykazaniem, żeby nic nie mówił ojcu. Zachwycony biegnie szybko do ojca i mówi:

- Znam całą prawdę.

I dostał 100 złotych z zastrzeżeniem, żeby nic nie mówił matce. Rozochocony Jasio postanowił więc wypróbować nową metodę również na kimś spoza rodziny. Nadarzyła się okazja, kiedy listonosz przyniósł pocztę.

- Znam całą prawdę ! - mówi z

uśmiechem Jasio.

Listonoszowi łyżę naszły do oczu, rzucił listy na ziemię, rozłożył ramiona i wyszeptał:

- W takim razie uściskaj tatusia...

W szkole na lekcji historii pani zadała dzieciom pytanie:

- Dzieci kto wie coś o Napoleonie ?

Parę dzieci zgłosiło się, a wśród nich Jasiu. Pani nie dowierzała bo Jasiu zawsze taki spokojny, nigdy nie zgłaszający się - a teraz wręcz wyrwał się do odpowiedzi. Więc pani mówi:

- No proszę Jasiu powiedz co wiesz o Napoleonie.

A Jasiu jednym tchem:

- Najtańszy napoleon jest w Czechach.

Dlaczego dzieci z Czarnobyla są mądre ? Bo co dwie głowy to nie jedna.

Ojciec poszedł na zebranie.

Nauczycielka mówi do niego:

- U pana syna znaleziono marihuanę !

- Mówił skąd ją ma ?

- Powiedział, że od swojego najlepszego przyjaciela.

Ojciec powstrzymując łzy:

- Naprawdę tak powiedział ?

Przychodzi facet do lekarza z teczką wyników badań.

Lekarz przegląda, przegląda, przegląda i w końcu mówi:

- Mam dla pana dwie wiadomości dobra i złą.

Na co pacjent:

- To ja tę złą najpierw poproszę.

- Ma pan raka prostaty...

- Ooch !... A ta dobra ?

- Rozejdzie się po kościach...

Strażak, ratując ludzi z wraku samochodu zagaduje do pasażera:

- Widzi pan ? Nie przypiął pan pasów i ma pan połamane żebra... co najmniej. A kierowca zapiął pasy i siedzi sobie spokojniutko... jak żywy.

Mały Jasio ogląda z ojcem telewizję.

Nagle pojawia się plansza "Film tylko dla dorosłych"

- Tatusiu - pyta Jasio - dlaczego tego filmu nie mogą oglądać dzieci ?

- Siedź cicho ! Zaraz zobaczysz.

Koreę Północną można odróżnić od Południowej, obserwując mech na pniach drzew. Jeżeli ludzie go jedzą, to jest to Korea Północna.

Kłamstwa studenta:

1. Od jutra nie piję.

2. Od jutra się uczę.

3. Dziękuję, nie jestem głodny.

4. Tak, to mój projekt.

5. Zaliczyłem wszystko (do rodziców).

6. Byłem na wszystkich pańskich wykładach.

7. Idziemy tylko na jedno piwo.

Blondynka przeżywa kryzys finansowy i nie wie skąd wziąć pieniądze.

Postanowiła porwać Jasia - syna bogatej sąsiadki.

Porwała więc Jasia i napisała kartkę:

"Porwałam twojego syna. Jeżeli chcesz go jeszcze kiedyś zobaczyć, to jutro pod wielkim dębem w parku masz położyć w plastikowej torbie 100 000 zł".

Blondynka przykleiła mu tę kartkę do pleców i puściła do domu.

Następnego dnia znalazła pod wielkim dębem w parku te 100 000 zł i karteczkę: "Nie wiem jak blondynka mogła zrobić blondynce coś takiego".

Wyszedł Polak na spacer ze swoim psem - jamnikiem.

Był jak na jamnika za długi.

Spotkał Rosjanina, który miał boksera.

Oba psy rzuciły się na siebie.

Cały z walki wyszedł jamnik.

Zdziwiony Rosjanin proponuje:

- Dam ci 3000 zł za tego jamnika !

- Nie nie...

- Dam ci 5000 zł za tego jamnika !

- Nie, nie. Ja musiałem dać 10000 zł za operację plastyczną tego krokodyla !

Nauczyciel na lekcji pyta Jasia:

- Jasiu masz 10 cukierków. 3 dasz Ewie i 3 Zosi ile zostanie Tobie ?

- Za mało

Święty Andrzej Bobola (1819)

Był 16 maja 1657 roku. Rozjuszeni kozacy Bohdana Chmielnickiego wpadli do Janowa Poleskiego z zamiarem wymordowania przebywających tam Polaków. „Urządzili taką rzeź Żydów i katolików, że i prawosławnych ogarnęła trwoga – pisał ksiądz Józef Niżnik w książce *Św. Andrzej Bobola-życie, objawienia, cuda*. - Zaraz im wytłumaczono, iż nie mają się czego obawiać, bo rządy przeszły teraz w ręce kozackie. Muszą jednak najpierw wyciąć w pień wszystkich katolików. Uspokoilo to ludność prawosławną, która stanęła po stronie kozaków i pomagała w ściganiu katolików. Usłudni opowiedzieli o Boboli, jako o wielkim szkodniku, który spowodował odstępstwo wielu od prawosławia. Poinformowali przy tym, że znajduje się w Peredyle, na dworze Przychockiego, dzierżawcy wsi Mohylna.

Wtedy dowódca watahy posłał oddział kozaków z rozkazem ujęcia Boboli i doprowadzenia go do Janowa”.

O tym, co było dalej opowiada ksiądz Mirosław Paciuszkiewicz SI, autor dzieła *Życie i dzieje Św. Andrzeja Boboli*:

„Możliwe, że wieści o gwałtach w Janowie doszły już do Peredyli i wskutek nich Bobola wsiadł na wóz, by się schronić gdzie indziej. W każdym razie pewnem jest, że kozacy dopadli go jeszcze w Peredyle, jadącego wozem. Woźnica Jan Domanowski rzucił lejce i zbiegi do lasu, Andrzej zaś pozostał na miejscu i polecając się Bogu, oddał się w ich ręce. Było już po południu. Kozacy powierzyli swe konie Jakubowi Czetwerynce i poczęli natychmiast «nawracać» Andrzeja na wiarę prawosławną. Namowy i groźby nie odniosły skutku, wobec tego obnażyli go, przywiązali do płotu i skatowali nahajkami, poczem odwiązanego bili po twarzy, przyczem Andrzej postradał kilka zębów. Następnie związali mu ręce, umieścili go między dwoma końmi, do których go przytroczyli i ruszyli do Janowa. Kiedy w ciągu czterokilometr

owego marszu Bobola opadał z sił, popędzali go nahajkami i lancami, po których pozostały dwie głębokie rany w lewym ramieniu od strony łopatki, prócz tego jedno cięcie, prawdopodobnie od szabli, na lewym ramieniu. Odarty z odzienia, pokryty sińcami i krwawiącymi ranami, odbył Andrzej swój wjazd triumfalny do Janowa, gdzie eskorta oddała go niezwłocznie w ręce starszyny. Tu przyjęto go podobno szyderstwami i okrzykami: «To ten Polak, ksiądz rzymskiej wiary, który od naszej wiary odciąga i na swoją polską nawraca!»

Jeden z kozaków dobył szabli i wymierzył cięcie w głowę Boboli, ten jednak wskutek naturalnego odruchu uchylił się i zasłonił ręką, tak że częściowo udaremnił śmiertelne cięcie, ale za to poniósł bolesną ranę w pierwsze trzy palce prawej ręki.

Równocześnie sprowadzono unickiego proboszcza janowskiego Jana Zaleskiego i uwięziono go do płotu, by go później poddać torturom. Jakiś litościwy wieśniak, korzystając z tego, że kozacy zajęci byli męceniem Boboli, przeciął więzy i ułatwił Zaleskiemu ucieczkę.

Przygotowane przez kozaków krwawe widowisko ściągnęło liczny tłum ciekawego pospólstwa, wśród którego znajdowali się obok Czetwerynki, Joachim Jakusz, Chwedko, Jan Skubieda, Paweł Hurynowicz, Stanisław Wojtkiewicz, Dryk i Utnik. Tymczasem kozacy bezzwłocznie zajęli się Bobolą. Kolejności katuszy mu zadanych, wobec chaotycznych zeznań świadków w procesach apostolskich, ustalić niepodobna, zastosowanie ich oraz rodzaj nie ulega jednak żadnej wątpliwości.

Na rynku janowskim w pobliżu drogi, wiodącej do Ohowa, stała szopa Grzegorza Hołowejczyka, służąca za rzeźnię i jatkę. Wprowadzono tam

Bobolę, rzucono go na stół rzeźnicki i uwiwszy wieniec z młodych gałęzi dębowych ściskano mu głowę. Następnie, wzywając go do porzucenia wiary katolickiej przypiekali mu ciało ogniem. Stałość Andrzeja doprowadzała ich do coraz większego okrucieństwa. «Temi rękami Mszę odprowadzasz, my cię lepiej urządzimy» mieli wołać do niego i wbijali mu drzazgi za paznokcie. «Temi rękami przewracasz kartki ksiąg w kościele, my ci skórę odwrócimy, ubierasz się w ornat, my cię lepiej ozdobimy, masz za małą tonsurę na głowie, my ci wytniemy większą», wołali podobno w dalszym ciągu, zdzierając nożami skórę z rąk, piersi i głowy, odcinając wskazujący palec lewej ręki, końce obydwu pierwszych palców i wycinając skórę z dłoni.

Łaska, jakiej Bóg udziela swym wybranym męczennikom, krzepiła Bobolę i dodawała mu wprost nadludzkich sił fizycznych i moralnych, dzięki czemu, poddając się woli Boga, wśród jęków wzywał świętych imion Króla i Królowej Męczenników, Jezusa i Marii, a w odpowiedzi na szyderstwa i bluźnierstwa swych katów, wzywał ich do opamiętania. Ci prowadzili swe ohydne dzieło w dalszym ciągu. Wykluli mu prawe oko, przewrócili go na drugą stronę, zdzierali mu skórę z pleców i świeże rany posypywali plewami z orkisz, odcięli mu nos i wargi, przez otwór wycięty w karku, wydobyli język i odcięli u nasady, wreszcie powiesili go u sufitu za nogi, głową na dół i naśmiewali się z ciała rzucającego się w konwulsjach i skurczach nerwowych: «Patrzenie, jak Lach tańczy!»

Dwugodzinne katusze dobiegały już końca, odcięty ze sznura, padł Bobola na ziemię i odziany w najcenniejszy ornat, bo utworzony z purpury krwi własnej, wznosił swe okaleczone ręce ku niebu, składając u tronu Boga ofiarę z życia i krwi własnej. Tak kończył swą pielgrzymkę ziemską apostoł miłości i jedności, który prawie całe

Ciąg dalszy na stronie 11

swe życie oddał na służbę Bogu i dobru dusz, i nie zawahał się nawet przed złożeniem ofiary z swego życia, tego dowodu najwyższego stopnia miłości Boga i bliźniego. Dwukrotne cięcie szablą w szyję, było ukoronowaniem tragedii janowskiej, której ofiarą padł dnia 16 maja 1657 r. Andrzej Bobola”.

Największe wystąpienie Kozaków w XVII stuleciu na Ukrainie, wymierzone przeciwko Rzeczypospolitej, określane przez historyków ukraińskich jako „wyzwoleńcza wojna ukraińskiego narodu przeciwko polsko-szlacheckiemu panowaniu”. Bezpośrednią przyczyną jego wybuchu w 1648 roku było zaniechanie przez Rzeczpospolitą wyprawy przeciwko Chanatowi Krymskiemu, lennikowi Turcji, która to wyprawa raz na zawsze miała odsunąć niebezpieczeństwo najazdów tatarskich niszczących wschodnie kresy państwa. Mieli w niej wziąć udział Kozacy, którzy liczyli, że dodatkowy rejestr (zaciąg) przyczyni się do poprawy ich sytuacji materialnej. Za wyprawą opowiadał się król Władysław IV, lecz jego przygotowania wojenne wywołały szybką kontrofensywę kresowych magnatów i oburzenie szlachty, która panicznie bała się wszelkiej wojny, a tym bardziej wojny z Turkami. Na sejmie jesienią 1646 roku zmuszono Władysława IV do wyrzeczenia się planów wojennych i odwołania zaciągów oraz zredukowania gwardii królewskiej.

Kozacy poczuli się oszukani. Ich zawiedzione nadzieje były zresztą tylko ostatnim z wielu innych, narosłych na Ukrainie konfliktów. Składały się na nie: różnice językowe pomiędzy polskimi (lub spolonizowanymi) właścicielami dóbr ziemskich a ukraińską ludnością chłopską, upośledzenie prawosławia wobec katolicyzmu i unii, czy konflikt między aspiracjami Kozaków a dążeniem magnaterii kresowej do poddania kozaczyzny systemowi państwowemu. Narastało wśród nich napięcie, wykorzystane przez utalentowanego i charyzmatycznego Bohdana Chmielnickiego, podstarościego czehryńskiego, skrzywdzonego

dotatkowo przez Daniela Czaplińskiego, który zabrał mu przemocą hutor Subotów i uwiódł żonę. Nie mogąc znaleźć sprawiedliwości u króla, Chmielnicki udał się na Sicz. Zawarł nieoczekiwany sojusz z Tatarami i wywołał antypolskie powstanie, które zyskało poparcie Kozaków rejestrowych, bitnych i dzielnych żołnierzy.

W pierwszym etapie powstania (styczeń–październik) 1648 roku Kozacy sprzymierzeni z Tatarami pokonali wojska koronne pod Żółtymi Wodami (dopływ Dniepru), pod Korsuniem i pod Pilawcami, dochodząc do Lwowa i Zamościa. Ich zwycięstwa spowodowały wybuch powstania chłopskiego na całej Ukrainie. Pożar rewolucji ogarniał praktycznie cały jej obszar aż po San i Prypeć. Zamęt i panikę, które ogarnęły Ukrainę, spotęgował nagły zgon Władysława IV w maju 1648 roku. Szybko zebrany sejm elekcyjny obrał królem Jana Kazimierza Wazę, przyrodniego brata zmarłego monarchy. Państwu zaczęła grozić katastrofa, bo Chmielnicki groził pochodem w głąb Rzeczypospolitej. W okresie elekcji o wpływy walczyły dwie grupy polityków. Jedni pragnęli uśmierzyć powstanie poprzez rokowania z Chmielnickim i ustępstwa wobec Kozaków (na jej czele stał kanclerz Jerzy Ossoliński); drudzy, którym przewodził wojewoda braclawski Adam Kisiel, opowiadali się za utopieniem buntu we krwi. Sam Chmielnicki był wówczas skłonny do kompromisu i stawiał umiarkowane żądania, ale powstanie całkowicie wymknęło mu się spod kontroli, zataczając coraz szersze kręgi. Usiłował je powstrzymać Jeremi Wiśniowiecki, który ze swoimi żołnierzami dokonał rajdu na ogarnięte rebelią tereny tępiąc - jak napisał jeden z historyków – „hultajstwo bez żadnej litości”. Naciskany przez Maksyma Krzywonosą musiał się jednak wycofać.

Rzeczpospolita ostatecznie zdecydowała się na wystawienie znacznych sił, ale dowództwo nad nimi powierzono nie Wiśniowieckiemu, który o to zabiegał, ale trzem regimentarzom: Dominikowi

Zasławskiemu, Mikołajowi Ostrorogowi i Aleksandrowi Koniecpolskiemu. Trójkę tę Chmielnicki pogardliwie nazywał „pierzyną, łaciną i dzieciną”. (Dwaj pierwsi byli zwolennikami ugodowej linii kanclerza Ossolińskiego). W drugim etapie powstania (1649-1651) Rzeczpospolita wznowiła działania na wielką skalę. Oblężenie Zbaraża przez powstańców, odsiecz prowadzona przez Jana Kazimierza i rokowania z Chmielnickim pod Zborowem, następnie zwycięska dla Polaków bitwa pod Beresteczkiem (28-30 czerwca 1651) doprowadziły do zawarcia z Chmielnickim dwu nietrwałych wszakże umów. Na ich mocy król uznał tytuł hetmański Chmielnickiego i rozszerzył rejestr Kozaków do 40 tys. Szlachta mogła wrócić do majątków, a chan tatarski otrzymał znaczący okup i daninę. Ukrainę musieli też opuścić Żydzi i jezuici, a prawosławny metropolita miał zasiąść w senacie. Obie strony szykowały się jednak do kolejnego ostatecznego starcia. Chmielnicki zebrał siły i pod Białą Cerkwią nie dał się rozbić. Musiał jednak przyjąć znacznie gorsze warunki pokoju. Nowe porozumienie traktował oczywiście wyłącznie taktycznie dla zyskania na czasie. Gdy wojska polskie usiłowały zatrzymać jego pochód na Mołdawię, rozgromił je w krwawej bitwie pod Batohem, mordując następnie wszystkich wziętych do niewoli jeńców. Próba ponownej interwencji na Ukrainie podjęta przez Jana Kazimierza nie przyniosła efektu. Zawarto kolejny traktat z chanem, będący powtórzeniem ugody zborowskiej. Sytuacja Chmielnickiego dalej jednak nie była łatwa. Jego idea utworzenia niezależnego państwa ruskiego, obejmującego województwa wschodnio-południowej Rzeczypospolitej, nie miała szans na materializację. Mimo poparcia Kozaków, chłopstwa, kleru prawosławnego i części szlachty ruskiej był za słaby, by samodzielnie przy sprzeciwie Polski powołać do życia nowy byt państwowy. Tatarzy byli sojusznikiem niepewnym, rozgrywającym własne interesy. Chmielnicki szukając wyjścia z impasu zwrócił się ku prawosławnej Rosji

z wezwaniem o pomoc i opiekę. Car zwlekał jednak z jej udzieleniem. Dopiero, gdy zebrane na tzw. „czarnej radzie” w Perejasławiu w 1654 r. ukraińskie chłopstwo i Kozacy, wysłuchawszy wywodu Chmielnickiego o konieczności poddania się jednemu z okolicznych władców, przez aklamację opowiedziała się za nim, zgodził się na konkretne rokowania. Jego wysłannicy zgodzili się zawrzeć tzw. Ugodę perejasławską, na mocy której Ukraina miała się połączyć z Rosją. W konsekwencji Rosjanie w kilka miesięcy po jej podpisaniu zaczęli wojnę z Polską. Powstanie Chmielnickiego się zakończyło, a sprawa ukraińska nabrała zupełnie innego wymiaru.

*

Kiedy 31 lipca 1611 roku dwudziestoletni Andrzej Bobola, jako uczeń jezuickiej szkoły w Braniewie zgłosił się do litewskiej prowincji Towarzystwa Jezusowego, z pewnością nie myślał o końcu, jaki zgotuje mu przyszłość. Chciał być wierny Bożemu powołaniu, dlatego usłyszawszy głos Chrystusa: „Pójdź za mną!”, poprosił o przyjęcie do zakonu jezuitów w tym samym dniu, w którym ukończył szkołę średnią.

Urodził się 30 listopada 1591 roku w Strachocinie koło Sanoka. Pochodził ze znamienitego szlacheckiego rodu, osiadłego od lat w Małopolsce i pieczętującego się herbem Leliwa. Jego ojciec Mikołaj Bobola był dzierżawcą sołectwa strachocińskiego, wchodzącego w skład dóbr królewskich. Jezuita Jan Łukaszewicz SJ, który osobiście znał Andrzeja Bobolę, przekazał pewne cechy jego wyglądu, stwierdzając m.in. „Andrzej był średniego wzrostu, o zwartej muskularnej i silnej budowie ciała. Twarz miał okrągłą, pełną, policzki okraszone rumieńcem, przez jasną, przypiórszoną siwizną, fryzurę, z lekka przeświecała łysina. Powagi dodawała twarzy siwiejąca, nisko strzyżona broda”.

Andrzej studiował filozofię i teologię na Uniwersytecie Wileńskim. 12 marca 1622 roku (w dniu kanonizacji pierwszych

jezuitów: Ignacego Loyoli i Franciszka Ksawerego) otrzymał święcenia kapłańskie, których udzielił biskup Eustachy Wołłowicz. Jako misjonarz przemierzał rozległe obszary na terenie dzisiejszej Polski, Białorusi i Litwy, aby nieść Dobrą Nowinę ludziom opuszczonym i religijnie zaniedbanym.

Przez rok był rektorem kościoła w Nieświeżu (1623–1624), gdzie wspólnie z księciem Albrechtem Stanisławem Radziwiłłem dążył do uroczystego uznania przez króla Matki Bożej za Królową Polski, co zostało spełnione we Lwowie 1 kwietnia 1656 roku. 2 czerwca 1630 złożył profesję (ślubowanie) czterech ślubów zakonnych w kościele św. Kazimierza w Wilnie. Gdy w czerwcu 1625 roku nawiedziła Wilno epidemia, nie zważając na niebezpieczeństwo zarażenia się, pospieszył wraz z innymi na posługę chorym. Następstwem samarytańskiej pomocy była wtedy śmierć 6 jezuitów; zebrano jednak niemały plon duchowy: wysłuchano 8000 spowiedzi, przykładem heroicznego poświęcenia nawrócono 26 innowierców.

Z końcem 1642 roku lub na początku 1643 przeniesiono Andrzeja do Pińska. Kronika domu odnotowuje w tym okresie wzmożone zaangażowanie miejscowych jezuitów w pracę nad prawosławnymi. Wielu z nich przychodziło do kościoła jezuickiego, aby posłuchać kazań lub nauki katechizmu. To oddziaływanie prowadziło do licznych nawróceń. Nie bez znaczenia była też troska o rozwój kultu maryjnego, którego krzewicielami stały się Sodalicje.

W roku 1646 Andrzej znalazł się znowu w Wilnie. Tym razem przyczyną przeniesienia było jego zdrowie, które dotychczas wydawało się nie do zdarcia. Wilno miało klimat bez porównania lepszy aniżeli Polesie. W kościele św. Kazimierza, wrócił do poprzednio pełnionych obowiązków i pracował tu przez sześć lat.

W miesiącach letnich 1652 roku, w lepszym stanie zdrowia, powrócił do

Pińska, gdzie praktycznie przebywał, z niewielką przerwą, do końca życia. Przez ten ostatni okres swojej ziemskiej działalności pracował przede wszystkim jako misjonarz na Polesiu.

„Zadanie, jakie postawiła przed nim wola Boża wypowiedziana ustami przełożonych, bynajmniej nie było łatwe - czytamy na portalu Parafii św. Andrzeja Boboli w Czechowicach-Dziedzicach. - Apostołowanie utrudniały zarówno okoliczności zewnętrzne, jak i atmosfera duchowa. Brak dróg i stąd trudny dostęp do ludzi izolowanych od świata, żyjących na piaszczystych ziemiach, wśród grząskich bagien, sprawił, iż stan religijno-moralny Poleszuchów był opłakany. Hołdowali oni przeróżnym zabobonom. W niedzielę jeździli wprawdzie tłumnie do miasta, ale w kościele lub cerkwi zjawiali się tylko na błogosławieństwo przed końcem Mszy św., a resztę czasu spędzali w karczmie.

Początkowo po wioskach i siołach Pińszczyzny przyjmowano misjonarzy jezuickich bardzo niechętnie. Później jednak, gdy pękły lody nieufności, chłopci gromadzili się licznie na naukach głoszonych w wiejskich chatkach. Praca duszpasterska była niejednokrotnie dla Boboli okazją aby stanąć w szranki z duchownymi prawosławnymi. Odczytanie w pismach Ojców Kościoła greckiego, do czego dopomogła mu wyniesiona z jezuickiej szkoły średniej dobra znajomość tego języka, sprawiło, że z każdej dysputy wychodził zwycięsko. Do największych jego osiągnięć należy przejście na katolicyzm dwu całych wsi: Bałandycze i Udrożyn.

Proporcjonalnie do osiągnięć apostolskich rosła w obozie przeciwnym niechęć do Andrzeja. Gdy pomimo osłabionego zdrowia chodził ciągle od wioski do wioski, obrzucano go nie tylko obelgami, ale także błotem i kamieniami. Uwieńczeniem tej wrogości była sprawa janowska”.

Następnego dnia po męczeńskiej śmierci

odzyskano zmasakrowane ciało Andrzeja Boboli. Włożono je do trumny i pochowano w podziemiach pińskiego kościoła. Janowski męczennik podzielił los ponad 40 innych jezuitów zamordowanych w tym czasie na Polesiu. Potem zupełnie o nim zapomniano, podobnie, jak i o jego męczeńskiej śmierci. Do czasu, aż - 44 lata później - po raz pierwszy, z woli Boga, sam upomniał się o swój kult...

W roku 1712 generał jezuitów Michał Anioł Tamburini SJ wszczął starania o beatyfikację Andrzeja Boboli. Pięć lat później w Janowie Poleskim, w miejscu jego męczeńskiej śmierci postawiono krzyż pamiątkowy, nieopodal którego w dniu 1 listopada 1723 na rynku doszło do dziwnego zjawiska ukazania się świetlanego krzyża. Proces beatyfikacyjny przeciągał się, a następnie został na długie lata przerwany z powodu kasaty zakonu jezuitów w 1773 i rozbiórów Polski.

Kult Andrzeja Boboli szerzył się także wśród wyznawców prawosławia. By zahamować tę tendencję, w 1886 roku władze carskie wysłały do Połocka specjalną komisję, która miała za zadanie usunąć relikwie. Kiedy jednemu z komisarzy, dowcipkującemu na temat „polskich metod wyrabiania świętych”, spadła na głowę cegła, ciało męczennika zostawiono w spokoju.

Do wznowienia procesu doszło dopiero w roku 1826. Spośród setek nadzwyczajnych łask wybrano trzy ewidentne cuda, za cud uznano również niewytłumaczalny doskonały stan zwłok męczennika. W 1853 roku Pius IX wpisał męczennika w poczet błogosławionych. 30 października 1853 został on beatyfikowany w bazylice św. Piotra w Rzymie. 17 kwietnia 1938 roku, w święto Zmartwychwstania Pańskiego został kanonizowany przez Piusa XI.

W okresie II Rzeczypospolitej Andrzej Bobola został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Niepodległości. Po beatyfikacji kult jezuitów ponownie się ożywił. O kanonizację zabiegał sam Józef Piłsudski. 8 sierpnia 1920 roku, na zarządzenie

metropolity warszawskiego kardynała Aleksandra Kakowskiego gwiazdźście procesje z wszystkich parafii warszawskich przybyły po południu na Plac Zamkowy i przy wystawionych relikwiach błogosławionego Andrzeja Boboli, oraz błogosławionego Władysława z Gielniowa, Patrona Warszawy, wypraszały u Boga i Matki Bożej zwycięstwo, błagając o cud. I cud się zdarzył – „Cud nad Wisłą”, który odmienił losy wojny.

Zmumifikowane naturalnie zwłoki Boboli przez długie lata otaczane były czcią w kościele parafialnym w Połocku. Kolejną komisję - w 1922 roku - wysłali do Połocka bolszewicy. Tym razem jej zadaniem było zbadanie i potwierdzenie „religijnego oszukaństwa”. Wyjęli ciało z trumny i cisnęli nim o ziemię. Ku ich zdziwieniu zwłoki nie rozsypały się. Miesiąc później uzbrojeni „rabusie” ciało i zawieźli je do Moskwy. Ukryto je w magazynie gmachu Higienicznej Wystawy Ludowego Komisariatu Zdrowia. „Wykupili” je dyplomaci watykańscy w zamian za dostawy zboża dla głodujących Rosjan. Szczątki Andrzeja Boboli umieszczono w specjalnym relikwiarzu i na statku „Cziczerin” popłynęły z Odessy do Konstantynopola. Do Rzymu relikwie dotarły w dzień Wszystkich Świętych 1923 roku.

W 1938 roku rozpoczął się triumfalny powrót męczennika z Rzymu do Polski. 8 czerwca ciało świętego Andrzeja Boboli specjalnym pociągiem zostało uroczystie przetransportowane z Rzymu do Polski. Tłumy ludzi ze łzami w oczach witały świętego na trasie przejazdu specjalnego pociągu i w kościołach Lubiany, Budapesztu, Bratysławy, Ostrawy a zwłaszcza w polskich miastach - Dziedzicach, Oświęcimiu, Krakowie, Katowicach, Poznaniu, Kaliszu, Łodzi i Warszawie.

Rok później wybuchła wojna. Trumna - skutecznie ukrywana w różnych kościołach przed okupantem i niemal cudem uchroniona przed bombardowaniem - po wojnie powróciła na swoje miejsce. Przewieziono je w

konspiracji przed sowiecką władzą jako „zwłoki jednego księdza”.

13 maja 1989 roku złożono je w nowo wybudowanym Sanktuarium św. Andrzeja Boboli na warszawskim Mokotowie, przy ul. Rakowieckiej 61, gdzie 16 maja 2007 roku utworzono muzeum poświęcone jego pamięci. Od 16 maja 2002 roku św. Andrzej Bobola jest jednym z patronów Polski. Jego wybór zatwierdziła 13 marca 2002 watykańska Kongregacja Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów na prośbę występującego w imieniu Konferencji Episkopatu Prymasa Polski kardynała Józefa Glempa, złożoną w liście z dnia 8 stycznia 1999 roku.

*

Był rok 1702. Zawierucha wojny północnej zagroziła Pińskowi. Świętobliwy rektor Marcin Godebski rozpoczął gorączkowe poszukiwania patrona, któremu chciał powierzyć opiekę nad pińskim Kolegium Jezuitów. W niedzielny wieczór 16 kwietnia ukazał mu się jakiś nieznany jezuita o budzącej sympatii świetlistej twarzy. „Szukasz patrona, który ochroni Kolegium? Masz przecież mnie. Jestem twoim współbratem. Andrzejem Bobolą, zabitym przez Kozaków w obronie wiary. Odszukaj moje ciało. Bożą wolą jest bowiem, żebyś oddzielił mnie od innych” - powiedział duch.

Ksiądz Godebski polecił odszukać trumnę. Nie było to łatwe. Przez dwa dni bezskutecznie przetrząsano wilgotne czeluście kościelnej krypty. Wśród rozpadających się trumien nie było trumny Boboli. Drugiego dnia wieczorem Andrzej Bobola objawił się zakrystianinowi Prokopowi Łukaszewiczowi, instruując go dokładnie, gdzie znajduje się miejsce pochówku. Trzeciego dnia udano się we wskazane miejsce i po kilku zaledwie sztychach łopatą odsłonięto tabliczkę z napisem „Ojciec Andrzej Bobola Towarzystwa Jezusowego przez kozaków zabity.” Po otwarciu trumny oczom zgromadzonych

ukazało się zmaltretowane ciało męczennika. Rektor rozpoznał w zmarłym osobę, która nawiedziła go nocą. Mimo wielu lat przechowywania w wilgotnej krypcie, ciało jezuita było takie jak w chwili śmierci a krew nadal czerwona. Uznano to za cud, odziano je i przełożono do nowej trumny.

Wieść ta obiegła powoli całą Rzeczpospolitą. Mieszkańcy Pińska, Janowa i okolic, zaczęli przypominać sobie historię sprzed lat, od tej pory przed męczennikiem modliły się rzesze ludzi. Jego kult zaczął szerzyć się bardzo szybko, a on sam - zgodnie z obietnicą - otoczył opieką nie tylko wspomniany klasztor jezuicki. Kolegium i miasto otrzymało swojego patrona. Kult Andrzeja Boboli rósł lawinowo. Wypraszano za jego wstawiennictwem wiele łask. Rozpoczęto także starania o beatyfikację, które jednak – jak wspomniano wyżej - przerwały rozbiory i kasata zakonu jezuitów.

Po raz drugi Andrzej Bobola przypominał o sobie w Wilnie w roku 1819. Listopadowy wieczór pełen był zimnych i lepkich mgieł. Późna jesień odarła okolicę z kolorów i wdzięku. Z drzew opadały nasiąknięte wodą złote liście...

W wileńskim klasztorze przebywał wówczas dominikanin, ojciec Alojzy Korzeniewski (zm. 1826 r.), fizyk i kaznodzieja, prześladowany przez carskie władze. Ojciec Korzeniewski załamany wydanymi przez cara zakazami głoszenia słowa Bożego, spowiadania i publikowania, patrzył w bezsenność przez okno celi i modlił się do Andrzeja Boboli, zawierając mu sprawę niepodległości Polski:

- Męczenniku z Janowa! wszakże już tyle razy przepowiedziałeś nam bliskie zmartwychwstanie ojczyzny naszej. Czyżby jeszcze nie był nadszedł czas, by niebo wysłuchało modły Twoje i przepowiednie Twe się ziściły? Wiesz lepiej ode mnie, z jaką nienawiścią schizmatycy przesiadają naszą świętą

wiarę i jak starają się kraj nasz kochany. Ojczyznę twoją do schizmy popchnąć. Ach, święty Męczenniku... Patronie nasz, czy nie dosyć tej chłosty, tegoż upalenia? Wyjednaj dla biednych Polaków litość u miłosiernego Boga. Niech Polska stanie się znowu jednym królestwem prawowiernym i Bogu podległym.

Utrapiiony dominikanin westchnął, zamyślił się, zamknął okno i złożył do spoczynku, by zapomnieć o twardej rzeczywistości. Wtem w maleńkiej samotnej celi zakonnika zajaśniało dziwne światło i jakaś wspaniała postać stanęła w jej środku.

- Otóż jestem. Ojciec Korzeniewski! Jestem ten, którego przyczyny wzywałeś. Otwórz okno jeszcze raz i popatrz i zobaczysz rzeczy, które nigdy dotąd nie widziałeś.

Choć przerażony, ale posłuszny dominikanin spełnił polecenie. Drżąc od lęku i wzruszenia dłonią otworzył okno i... jakież było jego zdziwienie. Znikł ogród klasztorny, znikł mur go otaczający a miejsce jego zajęła rozległa równina, przeczudny krajobraz.

- Płaszczyna która się przed tobą roztacza, mówił dalej niebieski posłaniec - to ziemia Pińska, ta sama, na której Bóg mi pozwolił krew przelać za miłość Chrystusa. Lecz przyjrzyj się bliżej a dowiesz się o tym coś tak bardzo pragnął widzieć.

I wyjrzał Ojciec Korzeniewski po raz drugi przez okienko swej celki i w tej chwili cała równina była zaludniona. Toczyła się tam krwawa, zaciepła bitwa. Nieprzeliczone szeregi Moskali, Niemców, Francuzów, Anglików i innych narodowości uderzyły na siebie wzajemnie. Niebo płonęło od pożarnej łuny. Surowy nieznośny cuch krwi przyprawiał o mdłości przerażonego widza. Dominikanin odwrócił wzrok ze wstrętem i zgрозą. Wtedy Męczennik Towarzystwa Jezusowego stał niewzruszony w pośrodku celi i łagodnym lecz przekonującym tonem

objaśnił to widzenie:

- Kiedy ludzkość doczeka się takiej wojny - tu wskazał na pole bitwy - to za przywróceniem pokoju nastąpi wskrzeszenie Polski a ja (uznany zostanę głównym jej patronem).

Ksiądz Korzeniewski, zaledwie mógł oczom i uszom swym wierzyć w to, co widział i słyszał. Unosząc się niebiańską radością nad tym wszystkim, prosił świętego Andrzeja o jakiś znak ziemskiej pewności, że to nie sen, nie złudzenie ale rzeczywistość. Na to odpowiedział św. Andrzej:

- Ja ci to mówię, ja Andrzej, o prawdzie tego cię zapewniam. Widzenie twoje jest rzeczywiste i nie zawodne a wszystko to się spełni, co do joty. Więc już bez troski udaj się na spoczynek. Żeby ci jednak i znak upragniony zostawić, żeś istotnie widział i słyszał to wszystko, zostawiam ci ślad dłoni mojej na tym stole.

To mówiąc, położył rękę na stole dominikanina i zniknął.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia jakie na nim zrobiło ukazanie się męczennika, ksiądz Korzeniewski zbliżył się do stołu i zobaczył wyraźny odcisk dłoni na stole. Następnego dnia zawołał wszystkich ojców i braci klasztoru, którzy widzieli i poświadczyli znanie zostawione przez świętego Andrzeja Bobolę.

To niezwykle wydarzenie ksiądz Korzeniewski opisał później w swoich wspomnieniach - książce, która ukazała się w USA. Opis widzenia i proroctwa zostały również opublikowane w czasopiśmie francuskich i polskich po ogłoszeniu beatyfikacji Andrzeja Boboli w roku 1853, ale wówczas podchodzono do sprawy z dużą rezerwą. Dopiero po stu latach proroctwo okazało się prawdą...

*

Pod koniec komunistycznej okupacji

Ciąg dalszy na stronie 15

Przepowiednia licheńska (1850)

Polski doszło do kolejnych objawień Andrzeja Boboli. Tym razem w Strachocinie - wiosce, którą uznaje się za miejsce narodzin męczennika. Na strachocińskiej plebanii straszło jeszcze przed wojną. Kolejni proboszczowie i ludzie przebywający na plebanii słyszeli dziwne odgłosy, tajemnicza zjawy siadała na łóżku, ściągała kołdrę, stąpała pod drzwiami, spadały lampki, brewiarz, z pustego chóru zleciał kamień, huśtał się żyrandol w kościele. Księża bali się mieszkać na plebanii, a ksiądz Ryszard Mucha trafił z tego powodu do szpitala.

W 1983 roku zastąpił go ksiądz Józef Niżnik. W nocy z 10 na 11 września 1983 roku obudziło go uderzenie w rękę. Jego oczom ukazał się „smukła, na czarno ubrana” zjawy „z czarną brodą”. Ksiądz myślał, że to napad i z krzykiem rzucił się w kierunku intruza. Zjawy oddaliła się w kierunku okna i znikła. Wystraszony kapłan do rana nie mógł zmrużyć oka. Zjawy objawiała się regularnie w ciągu kolejnych czterech lat, zawsze w nocy o godzinie 2.10.

Proboszcz Niżnik, który pozostał cały ten czas na plebanii, skojarzył w końcu postać z Andrzejem Bobolą. Zaintrygowany zrezygnował ze studiów na KUL-u i postanowił zostać w Strachocinie na dłużej. Z czasem dotarł do informacji, że ojciec Pio powiedział pewnej polskiej zakonnicy, że święty Andrzej domaga się kultu w Strachocinie. 16 maja 1987 roku, w 330 rocznicę śmierci męczennika ksiądz Niżnik powiedział wiernym, że powinni go czcić. Po tym wydarzeniu, w najbliższą noc, postać pojawiła się po raz ostatni.

16 maja 1988 roku uroczyste wprowadzono relikwie świętego i umieszczono je w wybudowanym ku jego czci ołtarzu, a ksiądz Niżnik został kustoszem strachocińskiego sanktuarium. W marcu 2007r. ksiądz arcybiskup Józef Michalik ustanowił Sanktuarium św. Andrzeja Boboli w Strachocinie.

Tysiące osób na przestrzeni wieków utrzymywały, iż doznały objawienia Matki Bożej. Kościół katolicki bardzo szczegółowi bada te wszystkie doniesienia o wizjach, docierające ze wszystkich kontynentów. Często zawierają one ostrzeżenia i przepowiednie apokaliptycznej przyszłości. Tylko nieliczne objawienia uznano za autentyczne.

Matka Boska miała objawiać się na ziemiach polskich kilkakrotnie. Objawienie z 1850 roku, jakiego miał doświadczyć Mikołaj Sikatka, sześćdziesięcioletni pasterz ze wsi Grąblin, rozpoczęło kult maryjny w Licheniu, niewielkiej miejscowości w środkowej Polsce, położonej w odległości 14 kilometrów od Konina. W czerwcu 1999 roku do tego właśnie Sanktuarium pielgrzymował papież Jan Paweł II.

Z dokumentów zachowanych w archiwum parafialnym i diecezjalnym wynika, że Mikołaj Sikatka, którego Matka Boża wybrała na swego posłannika do ludu, syn Wojciecha i Magdaleny Sikaczów, urodził się 10 grudnia 1787 roku w Grąblinie. Był najmłodszym z trójki rodzeństwa. Różnice w nazwisku najprawdopodobniej wynikają z miejscowej gwary. Grąblinianie, dla odróżnienia mężczyzny od jego ojca lub starszych braci, używali zdrobnień bądź przydomków. Przypuszczalnie więc o Mikołaju mówili Sikaczyk.

Pracował w miejscowym dworze hrabiny Izabeli Kwileckiej, najpierw jako fernal, potem jako wło-darz, a na starość jako pasterz dworskiego i włościańskiego bydła. (Według innych źródeł służył u gospodarza Jana Pachlika pod nr 8 w Grąblinie). W 1810 roku ożenił się z Teklą Mielcarzówną, córką Andrzeja i Rozalii z Wielgopola. W księgach parafialnych jest zapis o tym, że 4 marca 1811 r. ksiądz Jan Sosiński (proboszcz

parafii Licheń w latach 1800 - 1819) ochrzcił syna 24-letniego pasterza Mikołaja, nadając mu imię Kazimierz. Drugą żoną Mikołaja była Kunegunda z Józwiaków, z którą nie miał potomstwa.

Ani w życiu, ani w pracy pasterz nie wyróżniał się niczym specjalnym. Jednak między ludźmi poważnymi miał opinię człowieka prawego, pobożnego, roztropnego i prawdomów-nego. Mówiono o nim, że jest głęboko religijny i uczciwy. Uprawiał surowe posty i pokuty. Nigdy nie rozstawał się z różańcem, który nosił na szyi. Mimo że otoczony był powszechnym szacunkiem, nad nikogo się nie wynosił. Przepowiedział też dzień i godzinę swej śmierci...

Cho-ciaż czuł się zupełnie zdrowy, wezwał kapłana, przyjął ostatnie sakramenty święte i zmarł dnia 23 kwietnia 1857 roku w samo południe, mając opinię świętego. (W archiwum włocławskim przechowywany jest spisany 23 kwietnia 1857 r., akt zgonu Mikołaja). Pochowano go w drewnianej trumnie na licheńskim cmentarzu, w pobliżu kościoła. Kiedy czter-dzieści lat później, z okazji budowy pomnika dla pasterza grób rozkopano i trumnę otwarto, znaleziono ciało wizjonera nienaru-szone. Wspomniany pomnik został zburzony przez Niemców w czasie II wojny światowej. W roku 1975, w 125 rocznicę objawień wystawiono Mikołajowi Sikatce pomnik mauzoleum.

Pewnego dnia Mikołaj postanowił wypędzić do Grąblińskiego Lasu bydło, które pasał w pobliskim gospodarstwie. Tam klęknął na środku polany i zaczął się długo modlić o niepodległość Polski i lepszy los Polaków przed zawieszoną na sośnie kapliczką z niewielkim obrazkiem Matki Boskiej. Wtem

ukazała mu się Maryja, która przepowiedziała odrodzenie się Polski, „ale jeszcze trzeba będzie na nie poczekać”. Najświętsza Maryja Panna mówiła też Mikołajowi o wielu klęskach, które miały niedługo nawiedzić kraj, a także o powstaniach narodowych, które jednak nie przyniosą nam długo oczekiwanej wolności. Pasterz miał przekazać ludziom Jej nawoływania do nawrócenia i modlitwy, szczególnie różańcowej. Maryja przepowiedziała czasy epidemii, dając jednocześnie nadzieję tym, którzy Jej zaufają. W pewnym momencie wypuściła na wolność trzymanego na piersi orla białego, w geście tak bardzo zrozumiałym dla Polaków...

Wkrótce Mikołaj zaczął opowiadać ludziom, że na pastwisku kilkakrotnie ukazała mu się Najświętsza Maryja Panna. Mówił, iż zalecała, aby zachęcał ludzi do poprawy życia i do pokuty za grzechy, jeżeli chcą uniknąć strasznej kary Bożej, która już wisi nad nimi. Zachowały się relacje ówczesnego proboszcza księdza Floriana Kosińskiego, który swoim przełożonym napisał:

„W tymże boru, w bliskości obrazu pasterz bydlą (...) od dwóch lat miał widywać osobę nieznaną, jakoby z innego świata, która za pośrednictwem tegoż pasterza starała się zachęcać lud do prawdziwej pokuty, odmiany dotychczasowego, z wielu miar nagannego Życia (...) - przestrzegając zarazem, aby obraz wspomniany z miejsca tego, na ustroniu, bo tylko nad ścieżką położonego, został przeniesiony na inne, dla zabezpieczenia go od zniewag, które w boru przytrafiać się mogły (...). Polecenie to i zachęcenie miała ponawiać po kilka razy”.

Jedni uwierzyli opowiadaniu Sikatki, inni uważali je za kłamstwo i zwodzenie prostodusznych. Do tych, którzy uwierzyli należały... władze carskie. Objawienie wzbudziło ich znaczny niepokój, szczególnie wypuszczony na wolność orzeł... Pasterz został

przesłuchany na tę okoliczność przez wójta Gosławic, a następnie przekazany władzom powiatowym w Koninie. Aresztowanego „za wicherzycielstwo” poddano torturom i groźbami zmuszano, by zaprzeczył samemu sobie. Gdy próby te okazały się bezskuteczne - zamknięto w więzieniu. Wtedy sąsiedzi, zrobiwszy składkę pieniężną, poprosili znajomego lekarza o wystawienia fikcyjnego zaświadczenia o złym stanie zdrowia psychicznego Mikołaja. Dzięki tym dokumentom pasterz wyszedł z więzienia.

Jak relacjonował pasterz Sikatka, Maryja ukazywała mu się jeszcze potem kilkakrotnie, w latach 1850 – 1852. Poza nawoływaniem do odnowy moralnej, oczekiwała też przeniesienia jej obrazu z miejscowej kapliczki w bardziej godne miejsce:

„Gdy nadejdą ciężkie dni ci, którzy przyjdą do tego obrazu, będą się modlić i pokutować, nie zginą. Będę uzdrawiać chore dusze i ciała. Ile razy ten naród będzie się do Mnie uciekał, nigdy go nie opuszczę, ale obronię i do Swego Serca przyciągnę jak tego orla białego. Obraz ten niech będzie przeniesiony w godniejsze miejsce i niech odbiera publiczną cześć. Przychodzić będą do niego pielgrzymi z całej Polski i znajdą pocieszenie w swych strapieniach. Ja będę królowała memu narodowi na wieki. Na tym miejscu wybudowany zostanie wspaniały kościół ku Mejej czci. Jeśli nie zbudują go ludzie, przysłę aniołów i oni go wybudują”.

W roku 1852 w Europie wybuchła epidemia cholery, która dotknęła również Wielkopolskę. Wtedy przerażeni mieszkańcy Lichenia i sąsiednich wiosek przypomnieli sobie słowa Mikołaja. Zaczęli pielgrzymować do lasku przed obraz Matki Bożej. Miały miejsce liczne uzdrowienia. Również ludzie z okolic bliższych i dalszych zaczęli tłumnie przyjeżdżać, aby modlić się przed zawieszonym na sośnie obrazkiem Maryi. Wzbudziło to także zainteresowanie władz kościelnych.

Biskup kujawsko – kaliski Walenty Maciej

Tomaszewski postanowił przesłuchać zarówno Mikołaja Sikatkę, jak i osoby utrzymujące, że zostały uzdrowione. Obraz został uznany za charyzmatyczny i cudowny, postanowiono go zatem przenieść do kościoła Matki Bożej Częstochowskiej w Licheniu Starym. Uroczystość przeniesienia miała miejsce 29 września 1852 r. Dziś wisi on w oczekującej złotem Bazylice Matki Bożej Bolesnej Królowej Polski, największej świątyni w kraju i jednej z największych na świecie. Kult niewielkiego (24 x 12 cm) obrazu Matki Bożej Licheńskiej rozwinął się zwłaszcza po 1852 roku, kiedy to przepowiednia zaczęła się spełniać. Od 1949 roku Sanktuarium opiekuje się Zgromadzenie Księżąt Marianów – tak więc słowa Maryi „stały się ciałem”, powstał klasztor i miejscem tym opiekują się Jej synowie.

Stara jest historia miejscowości Licheń. Mieszkali tu ludzie w epoce kamiennej, bo znaleziono po nich na wzgórzu różne przedmioty z kamienia łupanego i krzemienia. W czasach rzymskich wiódł tędy szlak handlowy, zwany bursztynowym. Legenda głosi, że wtedy na wzgórzu nad jeziorem, pośród prastarych drzew znajdowała się pogańska świątynia, w której czczono księcia ciemności — szatana, zwanego po słowiańsku „Licho”. Stąd właśnie pochodzi nazwa „Licheń”. Z całej okolicy przychodzili tu ludzie, aby się modlić do wyciosanego w granicie bałwana, składać mu ofiary, odprawiać gusła i zabobony. W 1969 r. odkopano na wzgórzu tajemnicze głązy i kamienie, prawdopodobnie pochodzące z rozbitego pogańskiego ołtarza ustawionego przed posągami, a także kamienie rytualne, służące do pogańskich obrzędów kultowych. Gdy Bóg powołał nasz naród do prawdziwej wiary, a światło Ewangelii zabłyśło nad polską ziemią, zburzono tę pogańską świątynię, a z granitowego posągu wyciosano krzyż, który od 1151 r. znajduje się na rynečku

Ciąg dalszy na stronie 17

wioski. Okupanci zatopili ten krzyż w jeziorze, ale po wojnie wydobyto go z głębin i ustawiono na dawnym miejscu.

Pielgrzymów przyciąga dziś do Lichenia nie tylko cudowny obraz Matki Bożej, związany z objawieniami z 1850 r., ale przede wszystkim nowa, ogromna bazylika. To największy kościół w Polsce, siódmy pod względem wielkości w Europie i jedenasty na świecie! Budowa rozpoczęła się w 1994 roku. Bazylika została zaprojektowana przez Barbarę Bielecką, architekta z Gdyni. Ma pięć naw, kubaturę 300700 metrów sześciennych, 120 metrów długości, 77 metrów szerokości (w transepcie 90 m), 90 metrów wysokości (z kopułą). W swych formach nawiązuje do bazylik wczesnochrześcijańskich. Przed

bazyliką stoi jeden z największych w Polsce pomników Jana Pawła II z ponad czterometrowym posągiem papieża (zbudowany w 1999 roku według projektu Mariana Koniecznego). Bazylika nie wszystkim się podoba. Podczas budowy pojawiły się kontrowersje natury estetycznej. Dyskusje te sprawiły, że nawet wiele osób obojętnych religijnie przyjeżdża do Lichenia przekonać się na własne oczy jak wygląda nowa świątynia. Wszystko to spowodowało, że Licheń stał się drugim, zaraz po Częstochowie, polskim miejscem pielgrzymkowym. W latach 1921 – 1924 W Licheniu przebywał alumn Stefan Wyszyński – późniejszy kardynał i Prymas Tysiąclecia; za przyczyną Matki Bożej został uzdrowiony. W 1967 roku ksiądz prymas Wyszyński ukoronował Cudowny Obraz Matki Boskiej Licheńskiej koroną papieską, natomiast papież Paweł VI obdarzył Sanktuarium przywilejem odpustu zupełnego w każdy dzień roku. (<http://prorocykatolik.pl/>)

*

Historia objawienia jest jednak nieco starsza, niż wynikałoby z przedstawionej wyżej opowieści o pasterzu Sikatce.

Sięga początków XIX wieku, kiedy to żołnierz Tomasz Kłossowski w dniach 16 – 19 października 1813 roku wziął udział w „bitwie narodów” pod Lipskiem. Było to największe starcie wojen napoleońskich i największa klęska Napoleona, większą nawet od symbolicznej klęski pod Waterloo i sławnego odwrotu spod Moskwy w roku 1812. Jej wynik zadecydował o historii Polski i Europy na najbliższe sto lat. To właśnie pod Lipskiem 200 lat temu przesądzony został nie tylko los „boga wojny”, ale także całego kontynentu europejskiego na przeciąg wieku. Tam nastąpił prawdziwy koniec Księstwa Warszawskiego. Przyszłość Polski wyszła z rąk Napoleona i przeszła w ręce cara Aleksandra I i jego sojuszników z Austrii i Prus.

W „bitwie narodów” uczestniczyło 16 nacji. Po obu stronach walczyło ponad pół miliona żołnierzy. Dysproporcja sił była ogromna. 18 października, gdy decydowały się jej losy, pod rozkazami Napoleona stało około 160 tysięcy ludzi. Siły koalicji były mniej więcej dwukrotnie większe. Szacuje się je na od 320 do 360 tysięcy żołnierzy. Obie strony posiadały potężną artylerię. Także w artylerii przewaga koalicji była dwukrotna.

Bitwa miała tragiczne skutki dla Polaków. Zabitych i rannych zostało około 7 tysięcy. Do niewoli dostało się około 3 tysiące. Księżę Józef Poniatowski, mianowany w czasie jej trwania przez Napoleona marszałkiem Francji, utonął w Elsterze, wcześniej kilkakrotnie ranny. Z piechoty ocalało tak niewielu, że z niedobitków utworzono później tylko pułk pieszy. Koalicja triumf opłaciła również wielkimi stratami: około 70 tysięcy zabitych i rannych.

Wspomniany Tomasz na polu bitwy również został śmiertelnie ranny. Leżąc na ziemi bez szansy na ratunek, zaczął modlić się gorliwie do Matki Bożej, prosząc o pomoc. Jednocześnie ścisłał medalik z Jej wizerunkiem, który nosił na

szyi. Wówczas zobaczył idącą po pobojowisku piękną kobietę w amarantowej sukni ze znakiem Białego Orła na piersi. Gdy podeszła bliżej, rozpoznał w niej Matkę Bożą. Według jego świadectwa Maryja ukazała mu się w koronie na głowie i w złocistym płaszczu, na którym widniały symbole męki Pańskiej: cierniowa korona, bicz, gwoździe i włócznia. Obiecała Tomaszowi, że wróci do domu. Poleciała jednak, aby po powrocie odnalazł wizerunek najwierniej ją przedstawiający. Powiedziała też, aby po znalezieniu wizerunku, umieścił go w miejscu publicznym, aby ludzie się o nim dowiedzieli.

Kłossowski rzeczywiście ocalał i powrócił do domu, a konkretnie do Izabelina, wioski położonej niedaleko Lichenia. Pozbawiony majątku za udział w powstaniu wybudował kuźnię w Izabelinie koło Lichenia Starego i pracował w niej jako kowal. Chcąc spełnić prośbę Matki Bożej wiele pielgrzymował pragnąc odnaleźć obraz, o którym wspomniała. Poszukiwania zajęły mu nie mniej ni więcej, tylko 23 lata. Wreszcie, w 1836 roku wybrał się na pielgrzymkę do Częstochowy. Kiedy już wracał do domu, we wsi Lgota pod Częstochową, zobaczył grupkę pielgrzymów modlących się przy wizerunku Matki Bożej namalowanym na modrzewiowym drewnie, umieszczonym w przydrożnej kapliczce. Podeszedł bliżej i spostrzegł, że niewielki obraz przedstawia Matkę Bożą taką, jaką Ją widział w czasie objawienia. Za pozwoleniem właściciela zabrał go i powiesił w swoim domu.

Przez lata Kłossowski modlił się przed nim, jednak po ciężkiej chorobie postanowił w 1844 roku umieścić obraz na sośnie w Grąblińskim Lesie. W ten sposób w całości wypełnił przyrzeczenie dane przed laty Matce Bożej. Był to właśnie ten sam obraz, pod którym sześć lat później modlił się Mikołaj Sikatka...

Tomasz Kłossowski zmarł w 1848 roku.

*

Przepowiednia Licheńska: (Cytowane fragmenty pochodzą z książeczki autorstwa kustosa Sanktuarium ks. Eugeniusza Makulskiego Prawdziwa historia objawień w Licheniu)

„Najbardziej podstępne zamiary ciemniejszych rozbić się o wasze matki. One dadzą narodowi liczne i bohaterskie dzieci. Te dzieci, w czasie powszechnej pożogi świata, wywalczą wolną ojczyznę. Szatan będzie siał niezgodę pośród braci. Nie zagoją się jeszcze wszystkie rany i nie dorosnie jedno pokolenie, a ziemia, powietrze i morza obleją się krwią tak obfitą, jakiej dotąd nie było. Ta ziemia będzie przesiąknięta łzami męczenników świętej sprawy.

W sercu kraju młodzież legnie na ofiarnym stosie. Niewinne dzieci poginą od miecza. Ci nowi, a nieprzeliczeni męczennicy będą za wami błagać przed tronem sprawiedliwości Boga, gdy będzie bóg ostateczny o duszę całego narodu, gdy będzie sąd nad wami. W ogniu długich doświadczeń oczyści się wiara, nie zgaśnie nadzieja, nie ustanie miłość. Będę chodziła między wami, będę was bronić, będę wam pomagać, przez was pomogę światu. Ku zdumieniu wszystkich narodów świata – z Polski wyjdzie nadzieja udręczonej ludzkości. Wtedy poruszą się wszystkie serca radością, jakiej nie było przez tysiąc lat.

To będzie znak największy dany narodowi, na opamiętanie i ku pokrzepieniu. On was zjednoczy. Wtedy na ten kraj udręczony i upokorzony spłyną łaski wyjątkowe, jakich nie było od tysiąca lat. Młode serca się poruszą. Seminarium duchowne i klasztory będą przepełnione. Polskie serca rozniosą wiarę na Wschód i Zachód, Północ i Południe. Nastanie Boży pokój. Jeśli naród polski poprawi się, będzie pocieszony, ocalony, wywyższony, za przykład dawany innym narodom.

Szatan będzie z nim walczył na wszelki sposób, aby nie dopuścić do jego odrodzenia, ale ostateczne zwycięstwo będzie ze mną. Nie dajcie się uwieść piekielnemu smokowi, ale dochowajcie wierności Bogu, ja was swym płaszczem okryję od śmiertelnych nieszczęść. Tego kraju, tego Narodu, ile razy będzie się do mnie uciekał, nigdy nie opuszczę, ale obronę i do swego serca przygarne (...). Ja to będę królowała memu Narodowi na wieki (...). Na tym miejscu będzie zbudowany klasztor, gdzie mi służyć będą moi synowie”.

„Ponownie słyszymy o wielkiej obietnicy, o wyróżnieniu naszego narodu i jego globalnej roli – pisze Wincenty Łaszewski. - Obietnica ta została jednak uwarunkowana naszym nawróceniem... Znowu pojawia się wzmianka o istnieniu polskiej samoopatrności. To od niej zależy stopień działania Opatrzności niebieskiej, która – jak zapowiada Matka Najświętsza – jest w stanie dokonać rzeczy zadziwiających, nieogłędnych przez tysiąc lat. Dopowiedzmy, że proroctwo licheńskie nie byłoby niczym szczególnym, gdyby nie pierwsze słowa Maryi, wskazujące na to, że kiedyś (Matka Boża nie mówi, w którym pokoleniu to się stanie) jedynie Polska odpowie w pełni na Boże zaproszenie do życia według z przykazań z Nieba, a nie zgodnie z dekalogiem tego świata.

Bóg obiecuje nam nagrodę za złamanie obowiązującego od wieków stylu życia, podejmiemy się bowiem rzeczy skrajnie trudnych: staniemy się krajem żyjącym Ewangelią! Na razie jednak towarzyszący objawieniom wizerunek Matki Bożej Licheńskiej pozostaje obrazem „Bolesnej Królowej Polski”. Jakby Niebo chciało nam zwrócić uwagę na konieczność porzucenia grzechu i podjęcia wspomnianej „poprawy”. Czy dopóki w tytule Pani z Lichenia pozostanie słowo „Bolesna”, proroctwo będzie trwało w uśpieniu, czekając na czasy, gdy Polacy ruszą drogą trwałego nawrócenia?”

„Dzisiaj zdaje się że powracamy do czasów pogaństwa i ateizmu, potrzeba nam takiej nauki płynącej z objawień Licheńskich aby nie stało się z nami to co wtedy, czyli nie przyszła na nas zapowiedziana kara Boża – czytamy na portalu <http://prorocykatolik.pl/>. - Wpływa do nas z innych krajów zarażonych pogaństwem cała ta ideologia, trzeba nam Polakom przeciwstawić się stanowczo temu naszemu głębokim uniżeniu przed Bogiem, przepraszając go za nasze grzechy, i ugiąć kolana przed Przenajświętszym Sakramentem, potrzeba szczerego nawrócenia”.

Przemysław Słowiński, Teresa Kowalik

Przypisy:

(1) *Dzisiaj las Grąbliński oddziela od ruchliwej drogi wysoki płot. Kiedyś było inaczej - pasterze wypasali bydło, a bogactwa naturalne zapewniały skromne utrzymanie miejscowej ludności. Mimo przeniesienia obrazu do Lichenia pielgrzymi odwiedzali święty las. Mieli w zwyczaju odhupywać korę z sosny, na której kiedyś wisiał wizerunek Maryi, przypisując jej właściwości lecznicze. Dlatego kikut drzewa został zabezpieczony i zamknięty w kapliczce. Można go oglądać do dziś. Także w obecnym czasie wielu pielgrzymów swoje spotkanie z Maryją Licheńską zaczyna właśnie od modlitwy w tym miejscu.*

(2) *W 1858 r. kościół Matki Bożej Częstochowskiej utracił funkcję parafialnego na rzecz nowo wybudowanego, większego kościoła św. Doroty, przy którym z czasem powstało sanktuarium Maryjne. (W latach 1940–1945 kościół św. Doroty był siedzibą obozu Hitlerjugend – młodzieży hitlerowskiej). Kościół MBC po utracie funkcji sakralnych niszczał i z czasem uległ ruinie. Został odbudowany w obecnej formie w latach 1969-1971 Od tego czasu pełni funkcję kościoła filialnego.*

Myszując po Internecie przeczytałem obostrzeniom. W nocy z piątku na taki wpis: „Badacze z University of sobotę kiedy Polaka niemal w całości Rochester zaprojektowali nowy rodzaj stała się żółtą strefą, Kołakowska metalu, który unosi się na powierzchni uraczyła swoich obserwatorów na wody. Superhydrofobowy materiał nie Instagramie dość osobliwymi zatonię, nawet gdy jest na siłę przemysleniami. Nakaz noszenia wypychany pod powierzchnię wody, czy maseczek w przestrzeni publicznej dziurawiony”. To ciekawe, porównała do...Holokaustu”.

przypomina scenę z „Lalki”, kiedy to profesor Geist ofiarował Wokulskiemu taki właśnie kawałek metalu. O jego losach wiedzą ci, co uważnie przeczytali powieść Prusa.

Niezatapialność możemy przypisać także pewnym poglądom, wypowiedziom i czynom, którym właściwie niczego nie można przeciwstawić, zatem poruszają się one w przestrzeni publicznej, w której potrafi się dostrzegać niekiedy drobne gafy i znajdować sposób na ich kasację, natomiast coś co na prawdę jest głupie lub skrajnie obłudne, nie tylko dobrze się ma i bryluje celebryckim blaskiem, ale potrafi wzbudzić bezsensowną dysputę angażując w nią osoby stojące na świeczniku. Ale to, co najgorsze w tym wszystkim, polega na promowaniu tej głupoty w mediach o dużym zasięgu. Tak jest bardzo często także na **Niezależna.pl**, nie mówiąc o innych portalach, gdzie królują takie właśnie latrinennachrichten, czyli doniesienia właściwe dla pewnego znanego miejsca. Oczywiście są to newsy o gwiazdach i gwiazdkach. W sumie nieszkodliwe, a po prostu karmiące umysły do treściwszej strawy nienawykłe. Ale bywa, że taka gwiazdka potrafi niektórych oślepić i nawet spowodować niemałe zagrożenie. Na **Niezależna.pl** (11 X) czytamy: „Aktorka Violeta Kołakowska nie od dziś neguje istnienie koronawirusa. Często widywać ją można na protestach przeciwko wprowadzaniem przez rząd

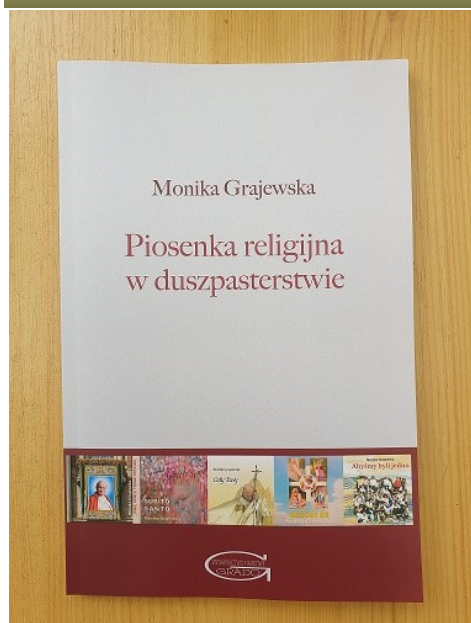
Następnie wzmocniła tę tezę relacją o funkcjonowaniu komory gazowej. Pomijając już fakt, że autorka tych słów z pewnością nie wie czym był holokaust, co dziś zdarza się nawet mądrzejszym niż ona, to nie liczy się ona z tym, że głupota jej wypowiedzi może zarażać tłumy bezkrytycznych, a z kolei to zarażenie skutkować może infekcją koronawirusa i że ktoś z tego powodu zejdzie z tego świata. Głupota jest nieobliczalna i z natury niekaralna, bo jakąż karą jest tu mandat za brak maski ? Ale jest okropnie szkodliwa, zwłaszcza jeśli kolportują ją nośne media.

Nie wiem, czy głupotą w ogóle, a zwłaszcza taką jak wyżej opisana, można nazwać tępienie ex officio prawa do wypowiedzania poglądów w sprawach społecznie doniosłych, a należy do nich z pewnością tematyka obyczajowa. W źródle wyżej już cytowanym załączyłem taką informację: „w ub. roku na Twitterze skrytykowałem lgbt-cośtam. Odezwała się prac. Naukowy UW, który stwierdził, że nie powinienem uczyć studentów i on poinformuje władze mojej uczelni jakie mam wredne i nie nowoczesne poglądy. A uczelnia zawiadomiła mnie, że rozwiązuje ze mną umowę i pracę”. Spotkało to Romualda Szeremietiewa. Rzecz w tym, że nie tylko jego, bo takie przypadki są coraz częstsze, co znaczy, że na uczelni można głosić tylko poglądy homoseksualne lub podobne im anomalia. Stosowanie

kryteriów światopoglądowych zdarzało się w pewnym okresie PRLu, ale stopniowo łagodzone jego stosowanie, chyba, że ktoś podważał ustrój. Było też coś takiego jak samokrytyka. Wtedy także można było głosić poglądy wstrętne dla każdego uczciwego człowieka, byle były zgodne z poprawnością socjalistyczną, podobnie jak obecnie – lewacką. Dziś można rozwijać tematy mające za zadanie deprawację od żłobka niemal ad infinitum. Tylko nie wolno temu się przeciwstawić, lub manifestować swój własny światopogląd, inny niż ów kazionny. Tu mamy źródło wrzaskliwych protestów przeciwko profesorowi Czarnkowi.

W całej tej aferze z wymuszaniem obojętności ideologicznej od osób na stanowiskach jest zginięty owocem zarówno głupoty, jak i cynizmu – „zalet:” rzadko idących w parze – bo to jest terror nie tylko psychiczny, ale mający wymiar bytowy. Pani Barley chce ogłodzić Polskę niepokorną wobec gleichschaltowania Europy pod strychulec kryptotalitaryzmu, a społecni wobec tego kierunku Polacy chcą ogłodzić tych współobywateli, którzy chcą być wierni własnym przekonaniom. To, że w tej odrażającej hecy biorą udział wyższe uczelnie jest szczególnie zawstydzające i zasmucające, gdyż gdzie, jak gdzie, ale tam winna panować swoboda myśli i przekonań. Mają ją tylko apostołowie ogłupiającej idei gender i LGBT. I oni mogą atakować wszelkie inne wartości. Sądy uniewinniają z reguły osoby dopuszczające się profanacji. Pytanie ku czemu dążymy jest dzisiaj szczególnie aktualne i aż strach pomyśleć, jaka padnie na nie odpowiedź.

Zygmunt Zieliński



Monika Grajewska, *Piosenka religijna w duszpasterstwie*, Wyd. Naukowe GRADO, Toruń 2020, ss. 96, indeks osób i miejscowości.

Monika Grajewska, autorka recenzowanej książki, to wokalistka, muzyk, kulturoznawca, menedżer kultury, znana w Kraju i wśród Polonii, głównie w Kanadzie i USA. Jest absolwentką Państwowej Szkoły Muzycznej w Lublinie w klasie skrzypiec i Policealnego Studium Piosenkarskiego im. Czesława Niemena w Poznaniu oraz Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, kierunek: kulturoznawstwo, zarządzanie kulturą. Praca *Piosenka religijna w duszpasterstwie* jest jej rozprawą gradacyjną powstałą na UKSW.

Liturgia, nie tylko katolicka, jest nierozdzielnie związana z muzyką i śpiewem. Piosenka religijna, to współczesna odmiana, luźniejszej w formie i treści, a niekiedy też w sposobie wykonania, pieśni religijnej, czyli utworu słowno-muzycznego wyrażającego przeżycia religijne, często utrzymanego w formie zwrotu do Boga, w dużej części związanego z obrzędami i liturgią kościelną, w duszpasterstwie.

Studium składa się z czterech

rozdziałów. Rozdział I ma charakter wprowadzający. Dotyczy duszpasterstwa jako miejsca oddziaływania przez piosenkę religijną. Definiuje się tu pieśń i piosenkę religijną oraz ukazuje inicjatywy, które sprzyjają wykorzystaniu piosenki jako środka duszpasterskiego.

Rozdział II ukazuje wymogi artystyczne stawiane piosence religijnej i źródła treści tego gatunku słowno-muzycznego. Przedstawia się w nim stosowane w tym gatunku rodzaje muzyki, motywy, instrumenty, a także towarzyszącą wykonaniom takich utworów choreografię. Ważny punkt tej części pracy to zrelacjonowanie treści piosenek ze skarbnią wiary.

Rozdział III omawia pola oddziaływania piosenki religijnej. Chodzi tu głównie o katechezę w rozmaitych jej formach. Ważne jest też zagadnienie formalnej roli piosenki jako środka mnemotechnicznego prawd wiary, a także znaczenia śpiewu w przeciwdziałaniu ujemnym stereotypom. Rozdział wieńczy punkt o piosence religijnej jako ważnym środku dydaktycznym i wręcz misyjnym. Ta część książki została po części oparta na własnych bogatych doświadczeniach autorki, która przez swoją działalność jako wokalistka włącza w swej praktyce piosenkę religijną do szeroko rozumianej dydaktyki Kościoła.

Ostatni, IV rozdział, omawia kwestię, niekiedy rodzącą kontrowersje, usytuowania piosenki religijnej w liturgii. Zostały tu omówione przepisy kościelne dotyczące badanego zagadnienia. Autorka podejmuje też ważne zagadnienie stosowania piosenki religijnej w paraliturgii, czyli pobożności ludowej.

W omawianym studium Monika Grajewska ukazuje duszpasterskie walory piosenki religijnej. Dowodzi z przekonaniem, że może ona taką rolę odgrywać, uzyskując w pełni należne

jej miejsce w Kościele. Jest to osiągalne pod warunkiem, że wybierze się miejsce i czas na takie manifestowanie wiary, co jest ważne zwłaszcza dla młodego człowieka, potwierdza bowiem jego tożsamość jako chrześcijanina.

Warto w tym miejscu mocno podkreślić, że Monika Grajewska pisze bardzo komunikatywnie. Wykorzystała obszerną literaturę przedmiotu, a przede wszystkim zna dobrze dokumenty Kościoła i nauczanie papieża w tym względzie.

Piosenka religijna dociera do słuchaczy rozmaitymi kanałami, niekiedy zagłusza głosy wrogie wobec religii i Boga, nierzadko budzi refleksję i otwiera ścieżkę nawrócenia. Tylko w ten sposób można zrozumieć tok myśli zawarty w omawianej tu rozprawie. Jej celem jest ukazanie, gdzie, kiedy i jak należy chwalić Boga przez śpiew piosenek religijnych i zachęcić innych, by kroczyli tym śladem.

Studium zostało opatrzone bardzo oryginalną przedmową przez ks. bpa Józefa Zawitkowskiego, znanego poetę i kompozytora, który od lat współpracuje z Autorką i śledzi jej bogatą twórczość artystyczną. W charakterystycznym dla siebie stylu zakończył swój tekst bardzo osobiście: „*Dziękuję Ci, Monisiu, gratuluję i podziwiam Cię [...]! Kocham Cię, mój nabożny Słowiku ! I życzę: Ostań z Bogiem !*”.

Recenzowana książka może z pewnością zainteresować wszystkich odpowiedzialnych za apostołat w Kościele. Autorka podkreśla bowiem mocno, że duszpasterz powinien zawsze szukać takich adekwatnych metod oraz środków oddziaływania, aby nawiązać osobowy kontakt z każdym człowiekiem i daje adekwatne przykłady jak można to obecnie realizować.

Ks. Antoni Tomkiewicz, KUL

11 listopada, już po raz 102-gi obchodzimy Święto Odzyskania przez Polskę Niepodległości w 1918 roku. Datę tego szczególnego dnia obrano na pamiątkę przekazania w Warszawie przez Radę Regencyjną Józefowi Piłsudskiemu zwierzchniej władzy nad wojskiem polskim. Było to bez wątpienia doniosłe wydarzenie, które dodatkowo zbiegło się z oficjalnym zakończeniem wyniszczającej I wojny światowej i podpisaniem w lasku Compiegne pod Paryżem kapitulacji Niemiec. Zaraz po przekazaniu władzy wojskowej, Józef Piłsudski—jako Naczelnny Dowódca Wojsk Polskich—stał się tymczasowym zwierzchnikiem odrodzonego po 123 latach niewoli Państwa Polskiego.

Warto jednak pamiętać, że niepodległość Polski nie „wybuchła” właśnie 11 listopada. Na jej ogłoszenie złożyła się wielka praca narodowa, datująca się od schyłku XIX wieku oraz nieprzewidywalne w 1914 roku wydarzenia samej wojny. Polskie obozy polityczne okresu przedwojennego prezentowały różne wizje dążeń niepodległościowych. O ile środowiska prawicy narodowej upatrywały przyszłość Polski w oparciu o państwa Ententy (Anglię, Francję, Rosję, a później i Stany Zjednoczone), o tyle socjaliści związani z Józefem Piłsudskim widzieli rozwiązanie kwestii niepodległości w sojuszu z monarchią austro-węgierską, walczącą u boku Niemiec. W podobnym kierunku ciężyli również ludowcy, których kolebką działalności politycznej była Galicja.

Wydarzenia okresu wojny wykazały, że żadna z orientacji nie „postawiła na właściwego konia”, chociaż nie było tutaj niczyjej winy. Rewolucja bolszewicka w Rosji oraz klęska Niemiec sprawiły, że powojenna rzeczywistość mogła się rysować tylko w oparciu o realną siłę zwycięskich państw zachodnich. Popierający początkowo (w ramach Ententy) Rosję obóz narodowy Romana Dmowskiego oraz związanych z nim Ignacego Paderewskiego czy gen. Józefa Hallera był bliższy temu celowi niż Józef Piłsudski, który był postrzegany na Zachodzie jako wódz legionów,

walczących po stronie wrogich państw centralnych.



*Marszałek Józef Piłsudski
(fot. archiwum)*

Tutaj dochodzimy do najistotniejszej sprawy: niebywalej odpowiedzialności polityków wszystkich środowisk politycznych i ich dojrzałości na drodze do wolnej Ojczyzny. Pomimo dzielących ich różnic potrafili oni wspólnie pociągnąć ów „wóz”, któremu na imię Polska. Na tym polegała ich wielkość, przed którą należy pochylić czoła. Wydaje się, że wszyscy oni zdawali sobie sprawę z prostego faktu, iż w obliczu najważniejszego celu: odzyskania niepodległości Polski, na bok muszą odejść wszelkie różnice partyjne czy nawet osobiste animozje.

Z tego też powodu nie wolno zapominać, że odzyskanie przez Polskę niepodległości w 1918 roku nie było dziełem tylko jednego wodza, tylko jednego obozu politycznego. Było ono dziełem wspólnym najwybitniejszych przywódców, jakimi Bóg obdarzył Polskę w początkach XX wieku: Romana Dmowskiego, Wojciecha Korfanteo, Ignacego Paderewskiego, Józefa Piłsudskiego, czy wreszcie Wincentego Witosa. Celowo przy tym wymieniam ich w kolejności alfabetycznej nazwisk.

Kiedy 10 listopada 1918 roku otoczony wielką sławą wódz legionów Józef Piłsudski przybył do Warszawy, by następnego dnia otrzymać z rąk Rady Regencyjnej zwierzchnictwo nad wojskiem polskim, istniały już na terenie byłego Królestwa Polskiego lokalne ośrodki władzy, by wspomnieć chociażby o działającej od 19 października Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego, od 28 października Polskiej Komisji Likwidacyjnej w Krakowie, czy też utworzonym w nocy z 6 na 7 listopada w Lublinie socjalistycznym Tymczasowym Rządzie Ludowym Republiki Polskiej Ignacego Daszyńskiego. Dodatkowo, już w dniu 7 października Rada Regencyjna oficjalnie ogłosiła powstanie niepodległej Polski. Wszystkie te ośrodki podporządkowały się Józefowi Piłsudskiemu, który—jako oficjalny zwierzchnik polskich sił zbrojnych—jako jedyny dysponował stworzonymi przez siebie legionami—zaczątkiem wojska polskiego.

Jednakże ogłoszenie niepodległości wcale nie oznaczało jeszcze powstania



*Roman Dmowski
(fot. archiwum)*

Ciąg dalszy na stronie 22

rzeczywistego Państwa Polskiego, któremu brakowało przede wszystkim ustalonych w pokojowy sposób granic. Nie było ich ani na wschodzie, ani na zachodzie, a i częściowo na południu (Zaolzie). Same legiony z czasów wojny były niewystarczającą siłą do egzekucji jakichkolwiek granic, zaś rekrutacja do nowo tworzonego wojska—przy ogromnym zapale i zaangażowaniu się Polaków—również wymagała czasu.

Z wielką pomocą przyszedł Piłsudskiemu



Wincenty Witos
(fot. archiwum)

ruch ludowy pod wodzą Wincentego Witosa. Zbudowane przez niego Stronnictwo Ludowe, później Polskie Stronnictwo Ludowe było od początku kuźnią świadomości narodowej wśród chłopów. Przypomnijmy sobie, że przez większość XIX wieku udział chłopów w jakichkolwiek zrywach ograniczał się zwykle do kwestii ich wolności osobistej na uprawianej ziemi (np. kwestia uwłaszczenia). Wieloletnia praca na polu narodowym stronnictwa Wincentego Witosa wydała właśnie na samym początku niepodległości znakomite owoce. Chłopom udzielił się wielki, patriotyczny zapal, zaczęli masowo zasilać tworzącą się polską armię.

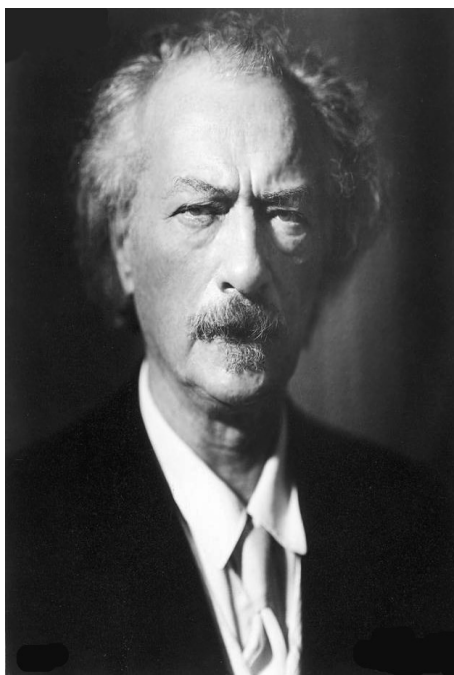
Jednocześnie działający na Zachodzie

Komiteta Narodowego Polski tworzył w tym czasie we Francji Armię Polską znaną pod nazwą „Błękitnej Armii” pod dowództwem gen. Józefa Hallera z zamiarem przerzucenia jej do Polski. Była to świetnie wyszkolona i uzbrojona formacja, posiadająca w swoich oddziałach pierwszą polską broń pancerną: francuskie czołgi Renault. Wstępowali do niej Polacy, mieszkający na emigracji: we Francji, Anglii USA, Kanadzie czy Brazylii, a także polscy uciekinierzy z armii niemieckiej oraz austriackiej. Zakończenie wojny nie przerwało werbunku i szkolenia i już w kwietniu 1919 roku gen. Józef Haller zameldował depeszą marszałkowi Piłsudskiemu o przybyciu „Błękitnej Armii” w granice Polski. Liczyła ona wówczas 100 tysięcy doskonale wyszkolonych żołnierzy i została początkowo przerzucona do Galicji, do walki z Ukraińcami, szybko wyzwalając ziemię aż do linii rzeki Zbrucz. Następnie została przerzucona na Pomorze, gdzie oczyszczała z sił niemieckich ziemię, przyznane Polsce przez Traktat Wersalski.

W dniu 27 grudnia 1918 roku do Poznania przybył—jako reprezentant Komitetu Narodowego Polskiego—słynny polski pianista i polityk Ignacy Jan Paderewski. Jego przybycie zaowocowało natychmiastowym wybuchem Powstania Wielkopolskiego, które oczyściło ten region Polski z rządów niemieckich i ustaliło zachodnią granicę polsko-niemiecką, w zasadzie zaakceptowaną później w traktacie pokojowym.

Ogłoszenie niepodległości Polski nie tylko pozostawiało odrodzony kraj bez granic, ale również bez przemysłu. Ziemie centralne, przez które niejednokrotnie przetaczał się front, były z niego ogołocone. Zniszczenia powojenne nie rokowały nadziei na szybką jego odbudowę, zaś uprzemysłowiony Górny Śląsk był ciągle pod władzą niemiecką. Nieprzychylnie nastawiony do Polski brytyjski premier Lloyd George nie dopuszczał myśli, by konferencja wersalska rozważała powrót Śląska do Polski, o co usilnie zabiegali przedstawiciele polscy: Roman Dmowski i Ignacy Paderewski. Ich wielkim sukcesem było ustabilizowanie się zachodniej granicy w Wielkopolsce, a także

dostęp do Morza Bałtyckiego. Ta druga sprawa była zasługą Ignacego Paderewskiego, pod którego wpływem ówczesny prezydent USA Woodrow Wilson, w sformułowanych celach wojny umieścił punkt, który mówił o wolnej Polsce z dostępem do morza. Dzięki temu zapisowi Polska odzyskała wąski pas Pomorza, chociaż bez Gdańska, który został określony jako Wolne Miasto.



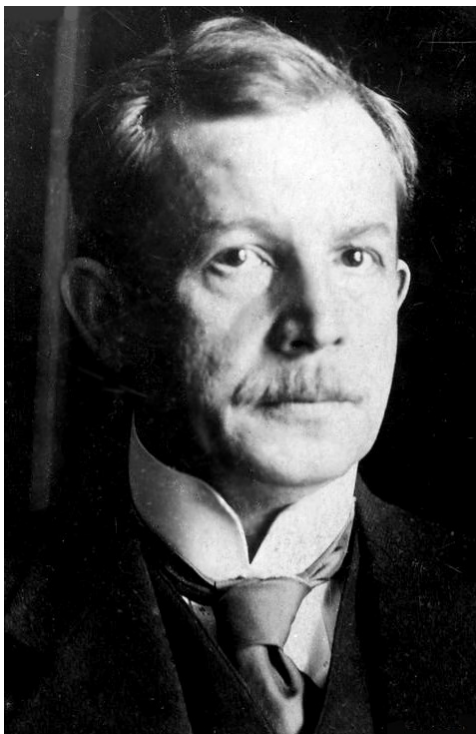
Ignacy Jan Paderewski
(fot. archiwum)

Przyszłość Śląska zadecydowała się dzięki serii powstań śląskich już po konferencji. Pierwsze dwa powstania w 1919 i 1920 roku miały zasięg lokalny. Kierował nimi Alfons Zgrzebińsk. Przyniosły jednak pewien sukces, którym było z jednej strony przeprowadzenie Plebiscytu, z drugiej zaś pokazały samemu Śląskowi ich siłę liczącą jako ludności polskiej. Plebiscyt okazał się niekorzystny dla Polski, ale w odpowiedzi na nieprawidłowości w działaniu przeprowadzającej go Komisji Międzynarodowej, wybuchło trzecie powstanie w roku 1921. Jego dyktatorem został Wojciech Korfanty. W wyniku

Niepodległość 1918

(dokończenie)

dobrze zorganizowanego powstania. Zakończyło się ono wielkim sukcesem, a konferencja w Genewie w 1922 roku oficjalnie przyznała Polsce 1/3 spornego terytorium, a więc to, co zdobyli powstańcy. Znajdowało się na nim 50% hutnictwa i 76% wszystkich kopalń Śląska. Była to zatem solidna podstawa przemysłowa odrodzonej Polski.



Wojciech Korfanty
(fot. archiwum)

11 listopada 1918 roku zapoczątkował więc proces realnego powstawania Państwa Polskiego, który trwał jeszcze prawie 4 lata. Najważniejszym wyzwaniem była oczywiście wojna polsko-ukraińska oraz polsko-bolszewicka na wschodzie. Zwycięstwo w tych wojnach uratowało nie tylko świeżą państwowość polską ale również całą ówczesną Europę przed inwazją zbrodniczego systemu bolszewicko-komunistycznego. Najdłuższa z polskich granic—granica wschodnia—stanowiła bowiem największe zagrożenie dla Polski. Od razu po kapitulacji państw centralnych w listopadzie 1918 roku, wycofująca się z Ukrainy armia austriacka, pozostawiła w rękach nacjonalistów ukraińskich wiele uzbrojenia, co spowodowało wojnę polsko-ukraińską w Galicji wschodniej.

Jednocześnie rozpoczęło się zajmowanie ziem wschodnich odrodzonej Rzeczypospolitej przez oddziały polskie z zachodu oraz przez żywioł bolszewicki, posuwający się ze wschodu pod hasłami zniszczenia Polski i wzniesienia rewolucji w Europie. Jeśli do tego dodać toczone między bolszewikami walki z tzw. białogwardyjskimi oddziałami wojskowymi Rosji, obraz strasznego galimatiasu na Wschodzie będzie wyraźniejszy.

Nic dziwnego, że sprawa polskiej granicy wschodniej stała się dla całej Rzeczypospolitej sprawą pierwszoplanową. Pod wodzą marszałka Piłsudskiego zjednoczyła ona wszystkie obozy polityczne oraz wojskowych dowódców niezależnie od ich przekonań. Chodziło o być lub nie być Polski.

Przybyła w granice Państwa Polskiego „Błękitna Armia” gen. Józefa Hallera szybko—jeszcze w roku 1919—uporała się z zagrożeniem ukraińskim, zaś Edward Rydz-Śmigły zajął 3 stycznia 1920 roku historycznie polską twierdzę Dyneburg na Łotwie, wchodząc w pierwszy kontakt bojowy z nacierającymi na wschód bolszewikami. Jednocześnie mianowany Naczelnikiem Państwa Polskiego i awansowany do stopnia marszałka Józef Piłsudski, po zawarciu układu z ukraińskim atamanem Semenem Petlurą, wkroczył w maju do Kijowa.

Na całym froncie wschodnim nastąpiło ostre starcie z bolszewicką nawałą, które spowodowało konieczność skrócenia frontu i odwrót wojsk polskich. W zażartych walkach bolszewicy podeszli pod Warszawę, gdzie rozegrała się jedna z najważniejszych bitew w historii Europy, zakończona klęską armii bolszewickiej. To jednak już dalszy, obszerny temat.

Zaprezentowanie niejako „w pigułce” wydarzeń następnych lat jest tutaj niezwykle istotnym dla zrozumienia sytuacji, w jakiej znalazła się już 11 listopada odrodzona Polska.

Zresztą warto pamiętać, że i samo odzyskanie przez Polskę niepodległości nie zostało ustalone przez wiele lat. W zależności od politycznych opcji

Strona 23



Gen. Józef Haller (fot. archiwum)

preferowano te lub inne daty. Rzecz ciekawą jest, że nawet zwolennicy Józefa Piłsudskiego wyznaczyli na datę Święta Niepodległości w 1920 roku dzień 14 listopada, wiążąc obchody tego święta z uroczystościami wręczenia mu buławy marszałkowskiej w Warszawie. Ostatecznie, dopiero w 1937 roku Sejm RP uchwalił dzień 11 listopada, a więc datę przekazania Józefowi Piłsudskiemu władzy zwierzchniej nad wojskiem polskim przez Radę Regencyjną, jako oficjalny dzień obchodów odzyskania niepodległości przez Polskę, ustanawiając ten dzień oficjalnym świętem państwowym.

Święto Niepodległości to nie tylko uczczenie kolejnej rocznicy deklaracji niepodległości czy stworzenia naczelnego dowództwa armii polskiej. To przede wszystkim dzień hołdu i pamięci dla wielkiego, łączącego wszystkich Polaków, patriotyzmu. Patriotyzmu, wznoszącego się nad polityczne podziały i różnice. Dali mu przykład działacze polityczni ale i wojskowi. Ich wieloletnia praca narodowa u podstaw wydała swoje owoce w 1918 roku, a ich wielkość polegała na wspólnocie wysiłków dla jednego celu, jakiemu na imię: Polska.

Roman Skalski

Jako skrajnie binarny, heteronormatywny, patriarcalny biały człowiek, z utęsknieniem czekam na wypowiedzenie Konwencji Stambulskiej. Nie, żebym był jakimś specjalnym miłośnikiem przemocy w rodzinie. Przeciwnie – bijam żonę rzadko i niechętnie, ale tylko wtedy, gdy sobie nagrabi. Uważam jednak, że konwencja ta drastycznie narusza prawa człowieka, bo już w starożytnym kodeksie Hammurabiego są paragrafy odnośnie dyscyplinowania krnąbrnych żon. A dlaczego się dyskryminuje sadystów ? Co ma zrobić człowiek mający takie preferencje seksualne ? Dlaczego odmawia mu się człowieczeństwa i praw należnych ? A masochistki ? Świat zapomniał o ich potrzebach. Chyba nawet nie są wspominane w skrócie LGBT, a liczne organizacje promujące "niestereotypowe zachowania seksualne" nie kwapią się do obrony ich interesów. A przecież wiadomo, że kobiety uwielbiają słodkich brutalni – świadczą o tym choćby słowa przedwojennej piosenki: "Na mej piersi blizna sina wciąż mi Ciebie przypomina".

Wszyscy znamy rytualną formułę - zakłęcie o "szacunku i godności, które należą się każdemu bez względu na preferencje seksualne, płeć, narodowość, rasę, wyznanie, kolor skóry, włosów czy zębów".

Ale trudno o szacunek dla produktów pedagogiki Wielkiego Wychowawcy Polskiej Młodzieży – "Jurka" Owsiaaka. Mało kto wie, że on sam nie wymyślił sobie słynnego "róbta, co chceta" – jest to dosłowne tłumaczenie hasła satanistów amerykańskich. W latach 90 w internecie można było spotkać różne rozszerzenia programu ideowego Owsiaaka:

Mówta co chceta, bluźnijta, kłamta

Nie szanujta innych, ubliżajta, wyśmiewajta

Plujta, wymiotujta, europeizujta

szpiclom współczujta, bolкови wierzta, kaczory potępiajta, altorytety w tyłek całujta, patriotyzm przeklinajta, transwestytyzm podziwiajta,

gdzie stoita tam lejta, gdzie siedzita – fajdajta.

Michał Sz. jako niebinarna, bezwaginalna kobieta o skłonnościach lesbijskich uprawiająca wielkoformatową i wielootworową poliamorię jest właśnie typowym beneficjentem (czy ofiarą?) filozofii "róbta co chceta".

Na fejsbuku koszalińskiego KOD-u jest informacja, że "aktywistka LGBT Margot jest koszalinianką". Choć sam "Margot" się swym pochodzeniem nie chwali, miasto Koszalin jest bardzo dumne ze swego syna/córki - to już trzecia postać z Koszalina, która uzyskała ogólnopolską renomę - obok szefa IPN Leona Kieresa (który "skitrał" "kompromaty" na polityków w zbiorze zastrzeżonym, czym poniekąd uratował IPN przed likwidacją za rządów SLD) i Kuby Wojewódzkiego.

Swoją drogą ten "Margot" jest szczęściarzem. Niejeden młody chłopiec w swoich najdzikszych fantazjach erotycznych marzy, aby być molestowanym i zdemoralizowanym przez feministkę. Nad "Margotem" opiekuńcze skrzydła roztoczyła bodaj najznamienitsza feministka polska – Klementyna Suchanow. Dzięki niej trafił z nieco zapyziałego miasta wprost na warszawskie salony i squoty. Jakież szare i ponure byłoby życie Michała Sz. bez feministek, które nauczyły go poliamoryzmu i wprowadziły do kolorowego świata LGBT! Michał Sz. musiałby pójść do pracy gdzieś w skupie mleka, czy przy melioracji, a tak - został nadzieją demokracji polskiej. Bo demokracja polska z utęsknieniem czeka na swego

zbawcę. Kilku poprzednich kandydatów – Palikot, Petru, Kijowski, Kasprzak, Biedroń, Hołownia - nie sprostало wyzwaniom. Nadzieje związane z Trzaskowskim właśnie spłynęły do Bałtyku.

Siłą postępu pozostał "Margot", do którego zabawny profesor Hartman głosi inwokację na kolanach:

"Margot, stałaś się liderką i w Ciebie wpatrują się oczy milionów porządných ludzi. Dziś nie możesz być gówniarą i zawieść tych ludzi. To już nie jest twoje życie, ale sprawa wszystkich. Od tego, jak się będziesz zachowywać, jak udźwigniesz rolę liderki, zależy to, czy będą bić LGBT, czy nie. Czy będziemy normalnym krajem, czy zoną faszystowskiego terroru w środku Europy".

Nawet dalej poszedł równie utalentowany ziomek profesora - Jerzy Urban:

"Dopier....cie katolikom, dopier...cie faszystom, dopier...cie białoczerwonym".

Widać, że agresywnym mniejszościom etnicznym nie chodzi o jakieś tam prawa osób LGBT, tylko o walkę z polskością i Polakami.

Niestety, Margot nie jest pozbawiony wad. Prof. Hartman (etyk) po ojcowsku napomina: "Margot nie powinna używać wulgaryzmów". Osobiście uważam, że powinna, bo sam/sama jest chodzącym wulgaryzmem. Powinna/powinien jednak nauczyć się ortografii podstawowych wulgaryzmów, bo robiąc dwa błędy w jednym wyrazie przebił nawet prezydenta Komorowskiego, który do dwóch błędów ortograficznych potrzebował jednak całego zdania.

"Należy się szacunek każdemu bez względu na" itd. - słyszymy te bełkotliwe formułki niemal w każdej wypowiedzi ludzi lewicy i okolic.

Jednak szacunek nie należy się każdemu.

Szacun dla Margot ? (dokończenie)

Trybunał Konstytucyjny ogłosił w czwartek, 22 października 2020 r. wyrok w sprawie tzw. aborcji eugenicznej stwierdzając jej niezgodność z Konstytucją RP. Artykuł 38 Konstytucji stanowi, że „Rzeczpospolita Polska zapewnia każdemu człowiekowi prawną ochronę życia”. Sprawa więc z punktu widzenia prawnego jest jasna. Problem buduje się zatem na innych przesłankach. Małgorzata Chmielewska odnosi się do wyroku TK w następujący sposób: „*Jestem przeciwna zabijaniu dzieci nienarodzonych, w tym niepełnosprawnych. Sama, jak wiadomo, wychowuję niepełnosprawnego, przybranego syna. Jednak są sytuacje, w których trzeba zostawić sumieniu kobiety-rodziców wybór. Do heroizmu nie można zmuszać*”. Trzeba przyznać, że jest to zręczny wybieg, ale zarazem relatywizowanie sprawy, która takich wykrętów nie znosi. Piąte przykazanie nie brzmi: Nie zabijaj, chyba... Nie wiem dlaczego ta osoba rezygnując z zabicia dziecka nazywa heroizmem?

Ktoś komentuje wyrok, jako „czysty prawny sadyzm”. Oczywiście uśmiercanie dziecka w łonie matki sadyzmem nie jest, bo dziecko nie potrafi się bronić, nie krzyczy, a więc wszystko w porządku, a że się tam kubie trochę rusza, to taka po prostu jest praca. Tusk wreszcie odsłonił się całkowicie, nawet listka figowego się pozbył. „*Wrzucenie tematu aborcji i orzeczenie w tej sprawie pseudotrybunału w środku szalejącej pandemii to coś więcej niż cynizm. To polityczne łajdactwo*”. On wie jednak dobrze co jest rzeczywistym łajdactwem i kto takiemu łajdactwu cynicznie patronował, dlatego przypisywanie tego Trybunałowi (bez owego „pseudo”), o tym on też wie, że jest cynizmem budzącym nawet zdumienie w świecie celebrycko-mafijnym w którym się on obraca. Pani Kidawa Błońska jak zwykle popisała się wprost zadziwiającą logiką, pisząc: „*Chcę, by kobiety w dramatycznej sytuacji wykazywały się heroizmem. Sami tchórz przy każdej, trudniejszej decyzji. Tak jak dziś, gdy odpowiedzialność przerzucili na ich Trybunał. Tchórze !*”. A niby kto, jej zdaniem, miał badać zgodność sprawy uśmiercania dzieci (przestańmy używać eufemizmów tam gdzie pod nożem konają niewinne istoty ludzkie) z Konstytucją RP? Pani Kidawa orzekła, że wyrok, to „piekło kobiet”? Słusznie, w odniesieniu do tych, które myślą tak jak ona. A piekło? Być może, ale niekoniecznie to, które ona ma na myśli.

Inna „postępowa niewiasta”, Marcelina Zawisza podkreśliła: „*Kobiety w Polsce będą torturowane. Będą rodzić dzieci z bezmózgowiem, z rozszczepem kręgosłupa, bez serc. Dzieci, które w męczarniach umrą*”. Oczywiście pani Zawisza nie myśli o torturze, jakiej poddane są wyskrobywane z łona matki dzieci. Trudno sobie wyobrazić kogoś z taką filozofią jako kobietę bo słowo to kojarzy się zazwyczaj z matką.

Niektórzy w komentarzu posłużyli się komunałami, jak Borys Budka nazywając wyrok nieludzkim lub, jak zawsze bardziej pompatyczny i pustosłowny Tomasz Lis, dla którego Trybunał Konstytucyjny stał się „*grobem praw kobiet*”. Pani Lubnauer zagrała na kataryncę antyreligijnej – w końcu kiedyś przewodziła Nowoczesnej – . Jej zdaniem: „*Na polecenie PiS w TK zapadł wyrok na kobiety, na córki, siostry, wnuczki, przyjaciółki. Mają rodzic zdeformowane płody, żeby ochrzcić i pochować. Cierpienie kobiet w imię fanatyzmu religijnego i interesu politycznego*”

Wielu, zwłaszcza z PO wrzucało do tej medialnej zupki jakieś farfocle. Wszystko mniej więcej tej samej treści. Gdyby je streścić, to trzeba by sięgnąć do legislacji III Rzeszy w sprawie mniej wartościowego życia, ale także do Dekalogu, prawa naturalnego, a w końcu i do zwykłej ludzkiej uczciwości i przyzwoitości. Tych wartości jest, niestety, pozbawiona tzw. opozycja totalna. Wielu jej zwolenników, którzy wcale nie myślą takimi kategoriami nihilizmu moralnego nie chce tego widzieć. Ale to są fakty. Inni dziwią się wulgaryzmom miotanym na demonstracjach. A przecież to jest język półświatka. To, co dzieje się w związku z wyrokiem TK powinno wielu otworzyć oczy. Może nie śledzimy działalności posłów opozycji w Parlamencie Europejskim, zawsze wrogiej polskiej racji stanu. Bo wielu mówi, że to polityka, a stanowiska zajmowane się różnią. I to nieprawda. Ale w przypadku aborcji chodzi o rzecz najważniejszą, o życie. Co jest ważniejsze, ono samo, czy jakieś wymaginowane prawo wyzutych ze swej naturalnej misji kobiet do zabijania tegoż życia. Może dobrze się stało, że zwolennicy rzezi niewinątek pokazali znowu co potrafią. Przynajmniej wiadomo kto jest kim. Niech sobie będzie, ale nie dopuszczajmy do tego, by swój sposób na życie czynili normą. Normą jest bowiem jego ochrona, a nie unicestwianie.

Człowiek nie rodzi się z szacunkiem. Trzeba go sobie zdobywać. Można mieć szacunek dla młodzieży, która szła do legionów, do młodych z AK. Nawet dla członków ZMP uwiedzionych ideą budowania świata "bez wyzysku człowieka przez człowieka".

Ja szacunku dla Michała Sz. nie mam. Uważam, że to oszust i cwaniak, który przebił nawet Kijowskiego, dla którego "jelenie" zbierały "hajs" na "stypendium wolności". "Margot" bryluje w polskojęzycznych mediach, prowadzi lekkie życie bez trosk materialnych, korzysta z uroków "poliamorii niebinarnej" i zakpił sobie z tych wszystkich profesorów, Hartmanów, redaktorów, etyków i innych humanistów, którzy z nabożną czcią zawsze mówią o nim "ona". Myślę, że wkrótce zaczną mu buty całować...

Ponieważ nie istnieje test, który przez pobranie wymazu z nosa, czy innych otworów, byłby w stanie odróżnić "bezwaginalną kobietę o skłonnościach lesbijskich" od beczelnego faceta, nie można mu udowodnić oszustwa. Z pewnością pozostanie bezkarny, bo trudno sobie wyobrazić sędziego skłonnego podjąć ryzyko skazania człowieka, za którego poręczają (materialnie?) największe autorytety – nobliści i artyści, księża i rabini z pewnym etykiem – księdzem profesorem katolickiego uniwersytetu na czele. A już wiadomość, że z tymi nieszczęśnikami solidaryzuje się kilkunastu (!) filozofów z Uniwersytetu Warszawskiego, dosłownie zwala z nóg.

Jan Martini

Kiedy Trybunał Konstytucyjny wydał orzeczenie na temat zgodności tzw. aborcji eugenicznej z zapisami Konstytucji RP wydawało się, że jest to oczywiste. Konstytucja bowiem jasno określa, że każde życie ludzkie jest pod szczególną ochroną Państwa Polskiego. Nic w tym nadzwyczajnego podobnie jak wynik 4 przy dodaniu 2 + 2.

Trybunał Konstytucyjny nie zmienił praktycznie żadnych praw poza potwierdzeniem zapisu obowiązującej Konstytucji, uchwalonej w 1997 roku za czasów rządów lewicy.

To jednak zostało wykorzystane przez lewactwo różnej proveniencji (w tym także lewicę) do rozpętania rozruchów. Wykorzystano do tego młodych ludzi, sami zaś prowodyrzy odpowiednio sterują zza kulis tymi, niespotykanymi burdami. Szybko okazało się, że nie chodzi nawet o samo orzeczenie ile o walkę z wartościami, drogimi sercom Polaków. Nastąpiło bowiem szaleńcze, satanistyczne uderzenie w Kościół i modlących się wiernych. Doszło do profanacji, dewastacji i fizycznych napaści.

Rząd jak zwykle okazał się miękki, nie reagował od razu na zagrożenie. Podobnie policja, która właściwie powinna jedynie wachać kwiatki, bo do ochrony prawa się nie nadaje. Przecież jawne dewastacje świątyń czy ataki słowne i fizyczne na tych, którzy w spokoju chcieli się pomodlić są oczywistymi przestępstwami i powinny być karane. Poza „wylegitymowaniem” kilku osób i „rozdzielaniem” (z miernym skutkiem) rozszalałego szamba od wiernych niczego nie uczyniono. Dopiero wtedy, kiedy poleciały w kierunku policji butelki i kamienie zareagowano gazem łzawiącym.

Każdej napaści towarzyszą ryszotkowe wulgaryzmy i szokiem jest to, że są one wyrzaskiwane przez płeć żeńską. Zdziczenie i stopień barbaryzacji wprost szokuje. W dodatku były to jedyne tzw. „argumenty” protestujących. Nie było nawet możliwości wymiany realnych argumentów. Zero porozumienia.

Nic dziwnego, bowiem całość właśnie w

taki sposób była moderowana przez głównych, lewackich prowodyrów. Szybko podłączyli się oni do ataków na świątynie, aktywnie starając się zakłócać sprawowane Msze Święte. W ten sposób jest realizowany satanistyczny scenariusz niszczenia Kościoła. Warto pamiętać słowa Prymasa Tysiąclecia Księdza Kardynała Stefana Wyszyńskiego: *"Kto chce zaatakować, zniszczyć Naród Polski, ten najpierw zaatakuje Kościół"*.

Wściekłość satanistycznego szamba skierowała się właśnie na kościoły jako stojące na straży świętości każdego życia od poczęcia do naturalnej śmierci. Dlatego Polski Kościół zawsze wypowiadał się przeciwko zabijaniu nienarodzonych dzieci czy osób starszych czyli tego, co eufemistycznie lewackie środowiska nazywają aborcją i eutanazją.

Aktywistów szamba aktywnie wsparli nie tylko antypolskie indywidua z PO oraz Lewicy czy odchodzące na śmietnik osoby z Nowośmiesznej i innych niewielkich ugrupowań. Szybko okazało się, że by ich tzw. „postulatami” stało się zadość nie tylko należałoby dać im władzę, ale usunąć religię ze szkół i odsunąć w ogóle Kościół jako przeszkodę do lewackiej „nowoczesności”. Z radością wzięli oni udział w rebeliach pod kościołami w różnych miastach. Głównym punktem stała się oczywiście Warszawa Rafała Trzaskowskiego, ale np. Borys Budka atakował Katedrę Chrystusa Króla w Katowicach. Byli też i inni.

Po pierwszym zaskoczeniu i relacjach z napaści na polskie kościoły zaczęły się formować ochotnicze grupy obrony polskich świątyń. Robert Bąkiewicz powołał Straż Narodową, zaś przewodniczący NSZZ „Solidarność” Piotr Duda ogłosił wstępowanie w jej szeregi członków związku zawodowego i aktywną obronę kościołów w Polsce. Podobny apel wystosował także do członków i sympatyków Prawa i

Sprawiedliwości prezes Jarosław Kaczyński. Nie pierwszy raz w historii tam, gdzie zawodzi rząd i policja Polacy organizują się do obrony wartości. Piękną postawą wykazali się również kibice wielu klubów piłkarskich, którzy ad hoc zorganizowali obronę kościołów. Tak było zarówno w Warszawie, jak i w Poznaniu, Tarnowie, Gdyni czy Białymstoku. Również utworzyła się straż przy największym sanktuarium polskim na Jasnej Górze, bo i tam sataniści próbowali się wdrzeć. Wszystkim należą się słowa uznania i wdzięczności za ich patriotyzm i obronę katolicyzmu.

Prowodyrzy spod znaku KO-PO, Lewicy oraz tzw. feministek, wspierani działaczami niemieckiej Antify wydali wojnę Polsce, katolicyzmowi i ich wartościom. Początek dali aktywiści spod znaku tęczowych szmat. Za emblemat przyjęli runiczny znak formacji Hitlerjugend i SS. To są symbole jednoznaczne. Jednakże właśnie ten element jest wspierany przez polskojęzyczne gadzinówki w różnych odmianach. Antypolskie, lewackie formacje polityczne od dawna są znane z pełnych nienawiści ataków na forum europejskim przeciwko Polsce. To nie dziwi.

Nie dziwi również łatwość, z jaką lewaccy prowodyrzy obecnych burd zamęcili w głowach wielu młodym. Tutaj jako częściowe wyjaśnienie może służyć pewne zmęczenie ostatnimi obostrzeniami sanitarnymi. Ale ważniejszym powodem jest upadek wychowawczej roli szkoły ostatnich lat. Szwankuje także wychowanie rodzinne, co jest skutkiem lewackich wysiłków do rozmontowania polskich rodzin. To niezwykle ważny temat, który musi rzutować na przyszłość naszej Ojczyzny. Na szczęście wielu młodych zaczyna się orientować w brudnej polityce lewackiej Bestii. Nadrobienie zaniechań wychowawczych jest długim procesem. Należy jednak w niego zainwestować.

Stanisław Matejczuk

Wszelkie listy prosimy kierować na adres redakcji: redakcja@atopolskawlasnie.com

Printed and Copyrighted by Polonia Semper Fidelis